

Siemna nasza Polska cała

19 PIR 19

Oplacono ryczałtem.

Nr. 6. - 7. (22-23) Rok III.



**MŁODY
KRAJOZNAWCA
ŚLĄSKI**

CENA POJEDYNCZEGO EGZ. 20 GR.

W. LIPP

W. LIPP

SPIS RZECZY.

	Str.
1. Do czytelników	1
2. Zwyczaje wigilijne	1
3. Wigilia jakich mało	2
4. Hampowa dola	4
5. Z wędrówki wakacyjnej	5
6. Pokłosie ankiety historyczno-krajoznawczej	7
7. Marzanna i Goik w Goduli	9
8. Legenda o zamku knurowskim	9
9. Prawdziwe anegdoty plebiscytowe	10
10. Dożynki	13
11. Śląsk a Polska	15
12. Kilka wiadomości o woj. Śląskim	18
13. Historia Rudy Śląskiej	18
14. Na odpuszcie w śląskiej osadzie	21
15. Dożynki w Wielkiej Dąbrówce	24
16. Wezwanie do pracy	26
17. Powstanie Śląskie, to wielka rzecz	26
18. Historia starego Chorzowa	28
19. Sprawozdanie z Kursu Krajoznawczego w Podegrodziu	30
20. Zbieranie materiałów ludoznawczych	32

Odpowiedzi Redakcji.

Odpowiedzi redakcji

Kol. Matuszczyk Eryk. Artykuł o kościółku w Bytomiu umieścimy w następnym numerze. Za współpracę dziękujemy.

Kol. Rejnson Bolesław. Sprawozdanie umieścimy w następnym numerze.

Kol. Wójcik i kol. Malcherczyk. Artykuły umieścimy w jednym z następnych numerów.

Kol. Będzwałek. Dziękujemy za obietnicę współpracy i oczekujemy artykułu o Biskupinie.

Księgarnia Polska właśc. Maria Skowronkova Chorzów I. Wolności 16 telefon 410-78 poleca: książki szkolne, powieści dla młodzieży, mapy turystyczne oraz wszelkie przybory piśmienne — — —	W. Grzesiewski Księgarnia i skład papieru Chorzów I. Powstańców 5 tel. nr. 412-69 poleca: książki na podarunki gwiazdkowe, książki i przybory szkolne, mapy atlasy i t. p. — —	Z. BRODACKA właśc. G. Borzymowa poleca na gwiazdkę wszelkiego rodzaju wyroby cukiernicze po niskich cenach Chorzów I. ul. Marszałka Piłsudskiego 1 Tel 401-58
--	---	--

MŁODY KRAJOZNAWCA ŚLĄSKI

Wychodzi co miesiąc

Pisemko Zrzeszenia Szkolnych Kół Krajoznawczych Śląskich

Nr. 6-7. (22-23.)

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1936.

Rok III

Do czytelników

Po dłuższej przerwie wychodzi „Młody Krajoznawca Śląski” ponownie. Za tę przerwę wszystkich naszych czytelników nojuprzyjmyj przepraszamy, a na usprawiedliwienie podajemy, że nie powstała ona z naszej winy. Ten nasz parumiesięczny urlop natchnął nas nową wiarą w celowość naszej pracy. Utwierdziliśmy się bowiem w tym, że pisemko nasze stało się czymś

swoim i potrzebnym, na co się naprawdę czeka. Dowodem tego są różne wezwania i ponaglenia redakcji: „Młodego Krajoznawcy Śląskiego”, ażeby dalej prowadziła częstą pracę. Za słowa zachęty i sympatyi składamy wszystkim naszym czytelnikom i przyjaciółom najserdeczniejsze podziękowania.

REDAKCJA „MŁODEGO KRAJOZNAWCY ŚLĄSKIEGO”.

Edward Kosak.

Zwyczaj wigilijny w mojej rodzinnej wsi

Po długich i smutnych dniach Adwentu przypada wielkie święto Bożego Narodzenia. W przeddzień tego święta odprawia się wigilię. W czas rano wstaje rodzina cała, bo mówią, że kto w wigilię w czas wstanie, ten i przez cały rok będzie w czas wstawał. Matka z córkami krzątają się po pokoju, zajmują się gotowaniem wieczerzy i przy tym napominają dzieci, by cicho siedziały i batów nie dostały, bo byłyby cały rok objane. W dniu tym nie podaje się obiadu, ale

za to czeka wszystkich suta wieczerza. Wieczorem, kiedy słońce zacznie zachodzić, gospodarz wychodzi na podwórze i tam patrząc na niebo, czeka, aż się ukaże pierwsza gwiazda. Po ukazaniu się gwiazdy wchodzi do pokoju jadalnego, gdzie go gospodyni z dziećmi oczekuje i rozkazuje gospodyni, ażeby zamknęła drzwi do mieszkania, bo wierzy się, że gdyby w czasie wieczerzy wszedł ktoś do pokoju, domowników mogłoby spotkać nieszczęście. Jeszcze przed tym gospodarz przelicza, ile osób ma być na wieczerzy, a gdyby liczba osób

była nieparzystą, zaprasza się jakiegóż przyjaciela, bo liczba osób nieparzysta mogłaby przynieść nieszczęście. Dalej gospodarz patrzy się, czy od każdego odbija się cień, bo jeśli nie, to tenże w krótkim czasie skończy żywot. W naszej rodzinie wszyscy siadają do stołu od najmłodszego począwszy, bo ojciec mówi, że on chce jeszcze widzieć nasze wesela i dopiero potem umrzeć. Później po wszystkich ceremoniach następuje wieczerza. Wpierw ojciec z matką dzieli się opłatkiem, a później my dopiero spożywamy przygotowaną nam przez matkę wieczerzę. Wieczerzę każdy spożywa z wielkim apetytem, ponieważ nie było obiadu i przez cały dzień każdy musiał pościć. W czasie wieczerzy nie wolno nam zbierać choćby odrobiny tego pokarmu, który nam spadnie na stół, bo byśmy, jak rodzice powiadają, zaszpecili sobie twarz.

Po wieczerzy ojciec z matką zdmuchują każde po jednej świeczce, a po zgaszeniu świecy każdy patrzy, gdzie dym z świecy będzie się unosił. Z dymu i jego kierunku wróży się i

tak, jeśli idzie w stronę jednego z obecnych, to ten nie długo będzie żył, gdyby znowu w stronę okna lub drzwi, to wszystko pójdzie dobrze.

Później dzieci udają się do pokoju, gdzie znajdują to, co im „Dzieciątko” pokładło. Potem znowu wracają wszyscy do tego samego pokoju, co poprzednio, i tam matka, względnie najstarsza siostra zbiera, co pozostało po wieczerzy. Wszystkie resztki z wieczerzy wigilijnej daje się bydłu, albo drobiu, „ażeby bydło w nocy gadało, a kury dobrze jajca niosły”. Kiedy już wszystkie te obrzędy są wykonane, wtedy dzieci liczą, kto dostał najmniej od Dzieciątka i wysmiewają się z poszkodowanego, mówiąc, „że mu Dzieciątko najmniej pszaje”. Naturalnie, że zawsze najmniej mają ojciec i matka, którzy wolą dać wszystkim dzieciom, ale z nich się nie można śmiać, bo wszyscy wiedzą, że oni to robią z miłości do dzieci.

W nocy o godzinie 12-tej idzie się do kościoła na Pasterkę, a kto na Pasterkę nie pójdzie ten będzie leniuchem przez cały rok.

Morgała Norbert.

Wigilia jakich mało

Zdarzenie nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Nikt może nie uwierzy, by zdarzenie to, głęboko wryte w moją pamięć, mogło mieć miejsce, by mógł żyć na świecie człowiek, któremu inny człowiek, bezrobotny, do dziś dnia nie może okazać swej głębokiej wdzięczności, bo go nie zna.

A gdyby każdy człowiek podobny był do tego, gdyby każdy przynajmniej raz w życiu pamiętał o swoich bezrobotnych

braciach, możeby szara rzesza bezrobotnych przestała gardzić swym życiem, mniej ich ginęłoby w bieda-szybach a nienawiść i pogarda dla tych, którzy jeszcze coś mają, zniknęłaby u nich niechętnie.

Jednak żył taki człowiek...

Pamiętam. Przed kilku laty, kiedy podczas wakacyj wybrałem się samotnie na wycieczkę, spotkałem w lesie bezrobotnego. Trzydziesty rok

twardej niedoli niósł na swoich barkach, trzydziesty rok błakał się po ziemi, a pracy nie widział. Twarz jego, poorana cierpieniami, patrzeć poczęła na mnie z początku nieufnie, lecz powoli błyski nieufności znikwały, a człowiek ów opowiedział mi całą swoją dolę i niedolę. Od niego dowiedziałem się o swym nieznanym dobrodzieju...

Łzę zabłysło jego oko, kiedy wspomniał kartkę swego życia, którą zapisał ów nieznanym człowiek...

Mówił, a kiedy skończył, złowrogie milczenie zapadło wokół, tylko gdzieś w oddali ciszę przerywał dziwny jęk syreny... Skończył, a ja od tego czasu co roku, w okresie Narodzin Bożego Dziecięcia, widzę w pamięci człowieka, który uszczęśliwił bezrobotnego, który uszczęśliwił całą jego rodzinę.

Pamiętam...

Człowiek był bez pracy, dzielił los wielu innych swych towarzyszów. Miał rodzinę, żonę i troje dzieci. Żyli się z tego, co czasem otrzymywali od dobrych ludzi, lub z kuchni bezrobotnych. Mieszkanie ich było norą, w jednej nędznej izbie mieszkało pięcioro ludzi.

Czas mijał... Znikąd żadnej pomocy, znikąd żadnej pociechy. Za nędzą kroczyła rozpacz, straszna i bezdenna...

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, dla wielu jakże szczęśliwe...

A on stał już u kresu swych sił. Duszę jego krajało zwątpienie w sprawiedliwość, zwątpienie we wszystko na świecie. Ale podjął się jeszcze walki. Pragnął walczyć z bezlitosną nędzą, chciał doznać przynajmniej raz upragnionego szczęścia, chociaż w sercu jego słaby tylko tlił się promyk nadziei...

Zaczął pukać do mieszkań szczę-

śliwszych od siebie ludzi. Lecz daremnie. Ludzie wzruszali ramionami, odwracali się od niego.

Zaczął złorzeczyć ludziom, przeklinał swój los, bluźnił przeciw Bogu...

Lecz daremnie. Nic nie pomagało. Już nędza chciała dyktować warunki zwycięzonemu. Śmierć ostrzyła swoją kosę...

Za kilka dni cały świat chrześcijański doznać miał radości, miał cieszyć się, bo narodził się Zbawiciel...

I oto zjawił się człowiek, którego nikt nie znał...

Był mroźny dzień. Śnieg skrzył pod nogami, wiatr świszczął złowrogo...

Bezrobotny włóczył się bez celu po ulicach. Ubrany był w strzępy, mróz gnębił go bez litości. Ostatni promień nadziei przygasł w jego duszy...

I przyszedł nieznanym człowiekiem. Podeszedł z tyłu do bezrobotnego, dotknął jego ramienia, polecił, by szedł za nim.

Po pół godzinie znaleźli się w ciepłym pokoju. Tajemniczy człowiek zdjął palto, zapalił papierosa, poczęstował bezrobotnego i uśmiechnął się...

Poczuł bezrobotny, że jest człowiekiem. Po raz pierwszy od tylu lat spotkał kogoś, kto uważa go za równego sobie.

Nieznamy zaprowadził go po chwili do łazienki, polecił mu, by się wykąpał i odział go w godne człowieka ubranie.

Kiedy bezrobotny wyszedł z łazienki, ujrzał na stole jedzenie...

Do późnej nocy siedział u owego nieznanego człowieka. Musiał mu opowiadać o swej doli...

Przy pożegnaniu wsunął bezrobotnemu do ręki pieniądz i zażądał, by następnego dnia znowu był u niego.

Kiedy bezrobotny zjawił się w swym mieszkaniu, dziw ogarnął całą rodzinę. I widział ją wesołą i szczęśliwą, po raz pierwszy od wielu lat...

Zmieniło się życie bezrobotnego, zmieniła się jego dusza. Wyrzucił z serca zwątpienie, przestał bluźnić przeciw sprawiedliwości, zaczął kochać ludzi...

I jedyny raz w życiu wiedział bezrobotny, co to są święta Narodzenia Zbawiciela, co to jest szczęście, co to znaczy być człowiekiem.

Usiedli do stołu wigilijnego. Zmienił już mieszkanie. Na stole paliły się świece.

Powstali i pomodlili się...

A kiedy skończyli wieczerzę, kie-

dy zaświecił choinkę, szczęście ich nie miało granic...

Udał się z żoną na Pasterkę. I zakochał znowu do serca Zbawiciela, o którym już dawno zapomniał... A kiedy zagrały organy, kiedy lud pieśniami cudownymi cieszył się przyjściem Wybawiciela, czuł, że dusza jego uleci hen wysoko, hen pod tron Króla Niebios...

Lecz niepokój zaszarpał jego duszę. Czuł wdzięczność do tego człowieka, lecz wyrazić jej nie mógł. Nie znał powodu opiekowania się sobą, nie znał swego dobroczyńcy. Człowiek nieznany zabronił mu dowiadywać się o sobie.

Minęły święta. Nieznany człowiek gdzieś wyjechał i już nie wrócił...

I już nigdy nie dowiedział się bezrobotny, kim był ów człowiek, człowiek prawdziwy...

Eryk Matuszczyk.

Hanysowa dola

Niedaleko hałdy stoi mały barak, a w nim na barłogu leży chora kobieta. Dookoła niej siedzi gromada dzieci, obdartych lecz czystych, wyciskających piastkami łzy z oczu. Przez szpary w ścianie świszcz wiatr. Za chwilę do izby wchodzi wymierzony mężczyzna i rzecze: „Nie płaczcie dzieci, bożech wam coś przyniosł”. I wyciąga bochenek chleba. Kobieta wstała, podzieliła część chleba i rzekła: „Stary, kajś to był?” „No był żech trochę za chlebem i pracom szukać. Wiysz, był żech tam na cegielni, kaj mnie jednak pierony za drzwi wyciepli. Wiysz, co? Jutro ida do kupy ze koleksami szukać kaj jakiego miejsca, kaj wongle jest”. Ona go jednak od te-

go odwodzi tłumacząc mu, że to niebezpiecznie i że policja zabierze węgiel. Mimo tego on jednak nazajutrz poszedł z kolegami na poszukiwanie węgla. Po kilkudniowej pracy na 9 metrowej głębokości, dokopali się poszukiwanego po kładu węgla grubości 1 metra i zaczęli go wydobywać. Przez jakiś czas było dobrze, był zarobek, ale z czasem pokład węgla się skończył. Więc nasz znajomy Hanys wrócił pewnego dnia do domu, zniechęcony i zmartwiony. Żona, bojąc się o jego zdrowie, prosiła go, ażeby zaniechał dalszej pracy w bieda-szybach i poradziła mu, ażeby poszedł wraz ze starszym synem grać po podwórzach na harmonii. Tak też Hanys zrobił. Zaro-

bek naturalnie był znikomy, ale i trud był o wiele mniejszy niż przedtem. Żona zaś tymczasem prała, czyściła, czerowała i chodziła na zarobek. Działo się to jesienią i trwało tak aż do zimy. Ale zima nadeszła sroga i mroźna. Teraz ani węgla kopać, ani grać na podwórzach nie można. Hanys zmartwiony i na pół odrętwiały siedział w domu. W głowie kołatały mu różne myśli, nachodziła go też myśl o samobójstwie. Lecz wyrwała Hanysa z tego stanu żona Zofka. Za jej radą poszedł prosić do gminy. Hanys miał szczęście, bo w gminie dostał miejsca zamiatacza ulic ze śniegu. wielka radość i otucha wstąpiła teraz w zwątpiałe serce Hanysa.

Shczęście Hanysa jedna było krótkie. Trwało tylko do pierwszej odwilży. Znow zawisła nad Hanysiem szara z mora biedy i głodu. Ale Hanys jest człowiekiem silnej woli, nie chce poddać się losowi. Zaczął tedy wraz z synami kopać sadzawkę, w którą napuścił ryb, nałowionych w pańskim stawie. Groziło to karą, lecz ludzie przecież nie muszą wszyst

kiego wiedzieć, skąd pochodzą ryby Hanysa. A zresztą bezrobotny bezrobotnemu nie zaszkodzi, ani nie zdradzi. Hanys zagospodarował swój stawek koło hałdy, pouczył swych synów, jak i czym karmić ryby, a sam poszedł jeszcze raz spróbować szczęścia w „bieda-szybie”. Znowu więc z kolegami zaczął kopać szyb.

Kopali dość długo, aż na głębokości 14 metrów natrafili na gruby pokład węgla, który mógł starczyć na długo. Ponowne uśchmiechnęło się szczęście do Hanysa. Ostrożnie, ażeby policja nie zabronila „sedrowań” Hanys z kolegami. Szło dobrze. W baraku koło hałdy wrócili na twarze uśmiechy, żołądki przestały tak nieprzyjemnie burczeć. Zofka nawet pogodziła się z pracą Hanysa i snuła jakieś wielkie plany. Pewnego dnia do baraku Zofki wpadł jeden z kolegów męża i krzyknął od progu: „Słuchajcie! Waszego chłopca zasulo, podźcież tam, ale gibko”. Więc lamentując strasznie, pobiegła do otwartej jamy, w której kończyły się na zawsze kłopoty jej Hanysa.

Z wędrówki wakacyjnej Sławocsyno

W dniu 24. czerwca br. cały nasz obóz stacjonujący w Holendrach (nad samym morzem), udał się w sąsiednie okolice, celem zapoznania się z terenem i zbliżenia się do tamtejszej ludności. Punktem kulminacyjnym tej wycieczki było zwiedzenie wioski pod nazwą Sławoszyno. Stwierdziliśmy, że w Sławoszynie mieszkają prawie sami Polacy-Kaszubi, a oprócz tego 7 rodzin niemieckich. Współżycie obydwu narodowości cechuje zgoda i współpraca, czego nie widzimy w Holendrach, o której

to miejscowości pisać będę w następnym numerze. Jest to tym bardziej dziwne, że oprócz językowych różnic występują tam różnice wyznania. Polacy bowiem są wyznania katolickiego, podczas gdy Niemcy wyznają religię ewangelicką. O związaniu polskości z katolicyzmem świadczy fakt, że każdego katolika uważa się tutaj za Polaka. Z organizacji polskich, istniejących we wsi, należy wymienić „Strzelca” i „LOPP”, którym to związkiem kieruje ksiądz z Żarnowca. O związkach mówię dlatego,

że we wsi Holendrowo, która jest oddalona od Sławoszyna o 5 km, nie istnieje ani jeden związek polski. Oprócz tego stnieje w Sławoszynie polskie koło rolnicze i koło niemieckie pod nazwą „Landbund”. Cała wieś jest doskonale zagospodarowana. Gospodarstwo chłopu tutejszego przypomina raczej nasze dwory, gdyż przeważa gospodarstwo duże prawie w innych dzielnicach nie spotykane. Bogatych chłopów, posiadaczy wielkich gospodarstw nazywa się tutaj „gburami”. Największe z tych gospodarstw liczą po 300 morgów ziemi. Sama wieś jest zbudowana asymetrycznie, nie ma żadnej jednolitości w jej wyglądzie. Mimo, że ziemia jest piaszczysta, zbiory są doskonale dzięki sztucznym nawozom, powszechnie tutaj stosowanym. Ilość hodowanych koni i krów na gospodarstwach jest zależna od wielkości posiadanego gruntu. Mleko wywozi się do Karwi w celu odciągnięcia śmietany po czym przywozi się je z powrotem. Cena mleka letnią porą wynosi około 25 gr za litr, a w zimie zaś zniża się cenę do 8 gr za litr. To mienormalne kształtowanie się cen tłuczy się wielkim ruchem turystycznym w lecie, a spadkiem tegoż w zimie. W Sławoszynie nieznane jest bezrobocie. Wszystkim wystarczają dochody, płynące z uprawy roli. Duże gospodarstwa utrzymują liczne rodziny dzięki uświadomieniu o szkodliwości dzielenia gospodarstw między dzieci. W Sławoszynie istnieje jedna szkoła powszechna, do której uczęszczają dzieci tak Polaków jak i Niemców. W ciągu naszego wywiadu rozmawialiśmy z mieszkańcami Sławoszyna, którzy nas przyjęli bardzo

serdecznie i uprzejmie. Gościnność i nadzwyczajna uczciwość, to najbardziej charakterystyczne cechy tego ludu. O uczciwości Kaszubów świadczyć może najlepiej fakt, że kradzież jest tutaj czymś niesłychanym i prawie nie ma tam miejsca.

Kończąc ten swój krótki artykuł o kaszubskiej wsi Sławoszynie, pozwolę sobie przytoczyć parę wyrażeń gwarowych kaszubskich dla zaznajomienia naszych czytelników z tą ciekawą gwarą.

checze — chata
 żedzel — żagiel
 draga — kotwica
 tatk — ojciec
 nenka — matka
 żaczek — marynarka
 skerzne — duże buty rybackie
 küeszla — koszula
 denga — fala
 świeczedlo — knot do lampy
 grunek — garnek
 mast — maszt
 piósk — piasek
 bulwy — ziemniaki
 uekno — okno
 wieszna — wiśnia
 czyndka — czajka
 sieczera — siekiera
 buksa — spodnie
 sztorm — wiatr
 pierzna — pierzyna
 żeglowek — poduszka
 nogawice — pończochy
 wombórki — naczynia na wodę
 dwiryze — drzwi
 kuymín — łomin
 plot — płot.

Stanienda Stefania.

Pokłosie ankiety historyczno krajoznawczej

O ile dobrze zrozumiałam cel ankiety, rozpisanej w numerze 4-tym „Młodego Krajoznawcy Śląskiego” to chodzi tu o odsłonięcie czy wyszukanie pewnych drobnych szczegółów dotychczas nieznanych, a przecież twórczych które złożyły się wogóle na to co zwiemy odzyskaniem ojczyzny. Dlatego i ja dorzucam tutaj takie drobiazgi, które odnoszą się do okolic Bytomia, a w szczególności Szombieriek.

Z działaczy niepodległościowych z okresu przedwojennego mogłabym wymienić p. Flaczka z Szombieriek. (Szombierki oddalone o 1 km. na zachód od Bytomia.) Takie wybitne osobistość jak np. ks. Szafranek z Bytomia, pomijam, bo o tych pracownikach w niejednej książce już pisano. Flaczek był śpiewakiem kościelnym przez lat przeszło 50, licząc od r. 1907 wstecz, to znaczy od roku, w którym kościół szombierski został poświęcony. Flaczka zwało też „farożem szombierskim” gdyż on to odprawiał nabożeństwa majowe, „dróżki”, śpiewał godziniki i t.p. Wszystko to odbywało się z braku kościoła w kaplicy, a wyłącznie w języku polskim. On też sprowadzał polskie książki. Jego zasługą było szerzenie zamiłowania do mowy ojczystej i uświadomienia narodowego, czego następstwem było wstępowanie do organizacji polskich w Bytomiu, gdyż w Szombierkach takowych jeszcze nie było. Flaczek umarł i pochowany został w Szombierkach.

Jeśli zaś chodzi o miejscowości, znane z powstań śląskich, to oprócz Bytomia, na ulicach którego lała się krew podczas każdego powstania śląskiego, wymienię miejscowości: Bobrek, Karb,

Miechowice, położone w jednej linii na zachód od Bytomia.

Jeśli zaś chodzi o działaczy przygotowujących powstania, to organizatorami powstań w Szombierkach byli: górnicy Burczykowie Józef i Jan, oraz Piątek i Bartodziej. Okres powstań był dla polskiej ludności wyżej wymienionych miejscowości nieprzerwanym pasmem cierpień i katuszy. Najwięcej ucierpiano w 3 powstaniu w r. 1921. Na miejscowych cmentarzach, liczne groby niewinnie pomordowanych, jakoteż z bronią w rękę poległych bohaterskich powstańców, wymownie o tym świadczą.

Wspomnę szczegółowiej jeszcze o tym co przechodzili Polacy w naszej miejscowości w Bobrku, gdzie mieszkaliśmy aż do roku 1922. Mieszkaliśmy na skraju wsi zresztą bardzo skupionej. 20 kroków od naszego domu szła linia kolejowa Bytom-Gliwice, w koło której stały domki jednoizbowe, przeznaczone na mieszkania dla dróżników, lub przechowywanie narzędzi kolejowych. Domki te stały się katownią i miejscem stracenia powstańców i cywilnych działaczy Skazanych przyprowadzono przed domki, następowała krótkka wymiana zdań między grupą „Grenzstrutzu” lub „Stosstruplerów”, związanie oczu lub nie, często uderzania kolbami, a wreszcie wspólna salwa i Polsce przybywał znowu nowy męczennik narodowy. Te wypadki mogliśmy z okna doskonale obserwować. Budka, w której najczęściej takie fakty miały miejsce oddalona była od naszego domu o 50 m. W całej miejscowości nierzadkie były wypadki bezpodstawnych rewizyj, u rodzin tych którzy podnieśli broń przeciwko ciemierzcom. Wielu



w ten sposób umęczonych ludzi spoczywa na cmentarzu bobreckim. Przy tej okazji opowiem jeszcze o znanych powstańcu, pochodzącym z Bobrka, którego wysyłano do wyjątkowo ważnych misyj. Był nim Barciok. Maka jego aresztowana przez powstańców z orłem polskim na piersiach i z granatami w rękach musiała iść przez Szombierki do Bytomia. Kazano jej śpiewać „Deutschland, Deutschland“, ale tej pieśni z ust jej mordercy nie usłyszeli. Co się stało po przyjeździe do Bytomia tego nie wiem. Wiem tylko, że tak matkę jak i ojca Barcioka w okrutny sposób zamordowano, za co sprawca tego okrutnego czynu zginął z rąk syna. Od tego czasu Barciok był nieubłagany w swojej zemście przeciw Niemcom, wstawił się zwłaszcza wysadzaniem mostów na tyłach oddziałów niemieckich. Pan Bóg sam tylko wie, ile mostów wysadził on w powietrze. Opowiem jedną z jego przygód, którą sam opowiedział będąc u nas na rok przed swoją śmiercią, która nastąpiła na sali operacyjnej w Krakowie. „Miałem przewieźć ważny raport do grupy gotowej do walki, a mieszcząc się w lesie. Jechałem rowerem. Dokument miałem w ręce. Jadąc szosą zauważyłem w pewnej chwili zbliżających się również na rowerach niemieckich żandarmów. Wyjęcie dokumentu było dziełem momentalnym, gdyż tamci szybko się zbliżali. Natychmiast włożyłem papier do ust i zaczęłem go jeść. Gdy się zrównali ze mną żułem jeszcze resztki papieru i to jeden z nich zauważył. Jednakże po dokładnej rewizji mnie i mojej skrytki żandarmi puścili mnie.

Z ich zachowania wiedziałem, że ktoś musiał nas zdradzić. Tymczasem w obozie dowiedziano się o moim wydarzeniu. Gdy im jednak opowiedziałem, że Niemcy nie dowiedzieli się niczego, nasi nie posiadali się z radości“.

O tych czasach i wypadkach przypuszczam, że dużo wiadomości będzie miał p. Nowak grabarz, dotąd jeszcze żyjący w Bobrku.

Co do wiadomości o najstarszych ludziach, o których mowa w ankiecie, to najstarszą osobą w Szombierkach jest mój dziadek, liczący 96 lat. Gdy byłam u niego w czasie świąt zauważyłam stare obrazy święte, między innymi Pana Jezusa, wkładającego palec do rany w boku.

Jest to obraz taki sam, jaki znajduje się w Muzeum Śląskim w Katowicach. Poza tym widziałam u dziadka bardzo ładny krzyżyk wyrobu ludowego, pięknie misy ludowego wyrobu z przed 60 lat, stare książki do nabożeństwa, z petyzmem przechowywane i „Pan Tadeusz” z 1888 r.

„Staroszk, wy macie takie ładne rzeczy, to by się przydało do muzeum” powiedziałam. Dziadek uśmiechnął się i rzekł tylko: „jak umrze”.

O tym jak musiała ludność polska pracować na niemieckich panów przed „wiosną narodów” w raciborskim, skąd pochodzi opowiadał mi dziadek dużo, ale na pisanie tego wszystkiego potrzeba więcej czasu. Przyobiecuję mi też dziadek spisać zwyczaje i obrzędy ludowe, które sam pamięta i o których mu jeszcze jego ojciec opowiadał. Nie zadługo upomnę się o to.

Bryłka Jan.

Marzanna i Goik w Goduli

Mimo naporu germanizacji, jakiej zawsze podlegała Godula, łączność z Macierzą zachowali jej mieszkańcy zawsze, a objawiało się to zwłaszcza w ich zwyczajach. Zachował się tutaj między innymi zwyczaj chodzenia z goikiem i marzanną.

Marzannę obchodzi się u nas w następujący sposób:

W czwartą niedzielę wielkiego postu kobiety, ubrane w stroje śląskie, wychodzą wczesnym rankiem z chat i idą z goikiem od domu do domu, śpiewając:

Tu do tego domu wstępujemy,
Sceńścia, zdrowio winsujemy,
Nos goik zielony, piyknje ustrojony.

Na naszym goiku malowane jojka,
Co je malowała godulsko kacmarka,
Całom noc nie spała, jeno malowała,
Nos goik zielony, piyknje ustrojony.

Zaś po obiedzie obnoszą na kijku lalkę, zwaną Marzanną, zrobioną ze słomy, ubraną w strój wiejskiej kobiety, a przy obnoszeniu śpiewają:

Marzanecka, psekrasna, psekrasna,

kajś ty przebywała?

Przi Donaju, przy morzu, nóżki u-mywała.

Tą bielušką chustecką ich se ucie-rała.

Marzanka rosła, aze urosła jak sos-na, jak sosna.

Nasa Marzanecka z Rozbarku, z Rozbarku,

Ma ona korale na karku, na karku,

Nasa Marzanecka z Rozbarku, z Rozbarku.

Gdy to odśpiewają, zanoszą Marzannę do stawu. Tam rozbierają lalkę, przy czym śpiewają: „Kto się w opiekę” i rzucają kukłę do wody. Gdy wracają, żadnej z kobiet nie wolno obrócić się w stronę stawu.

Następnie powtórnie chodzą z goikiem od domu do domu i śpiewają:

Wyniosłychmy marzanecka ze wsi,
Przynosimy latorośle do wsi.

Ty, nasa latorośl, ty nom piyknje roś,
Panicom na złość, panienkom na radość.

Legenda o zamku knurowskim

Było to już bardzo dawno, kiedy na skraju knurowskiego lasu stał zamek, w którym mieszkała rodzina szlachecka. Prześliczna córka właścicieli zamku była bardzo lubianą przez miejscową ludność, ponieważ spieszyła z po-

moćą biednym i uciśnionym. Razu pewnego zapanowała na zamku wielka żałoba, bo matka dziewczynki zmarła. Po czterech latach ojciec ożenił się ponownie. Macocha była dla córeczki nie-dobra. Knuli nawet spisek na jej życie.

W międzyczasie wezwano ojca na wojnę. Macocha postanowiła pozbyć się córki za wszelką cenę. W czasie ciężkiej zimy wysłała ją konno do Rybnika. Stangret wiozący córkę był w zмовie z macochą. Dał on bowiem koniowi trucizny. W głębokim borze koń zboczył z drogi i z furją zbiegł do lasu. Po długiej bieganiu koń wywrócił się i skonał, przygniatając do ziemi biedną dziewczynę. W nocy nadeszły wilki i rzuciły się na konia. W najgroźniejszym momencie wysunęli się z lasu dwaj myśliwi odpędzili wilki i wyswobodzili dziewczynę. Później dziewczynkę zaprowadzili do macochy, która okazywała niaby wielką radość. W jakiś czas później ojciec dostał się do niewoli. Przebywał tam kilka lat. W niewoli było kilka kłamek lwów. Pewnego razu dziecko dowódcy osady bawiło się na podwórzu, gdy wtem wy dostał się lew z klatki i biegł w stronę dziecka. Pan z Knuruwa widząc to, skoczył na ratunek dziecka i z rozjuszonym lwem stoczył zacieklą walkę. Walecznemu oswobodzielcowi udało się przebić lwa szablą, za co ojciec uratowanego dziecka z wdzięczności dał mu wolność i pieniądze na powrót do domu. Gdy przyjechał do Knuruwa wstąpił najpierw do pewnego ubożego murarza, który był jego przyjacielem. Murarz opowiedział mu, co zauważył podczas jego nieobecności w domu. Otóż pewnego razu zaprosiła go pani do zamku, prosząc, aby coś zamurował. Gdy przyszedł, pani

zaprowadziła go do piwnicy. Tam pokazała mu małą komóreczkę, którą miał właśnie zamurować. Wewnątrz stała jakaś postać owinięta w białe prześcieradło. Murarz zabrał się do roboty. Zamurował już całe wejście, zostawiając małe okieneczko wielkości cegły, które tylko zatkał cegłą. W krótkim czasie zaszedł z ciekawości do piwnicy, wyjął cegłę i zobaczył, duszącą się dziewczynę. Obawiając się, by dziewczyna z głodu nie umarła, podawał jej, aż do przyjazdu ojca, jedzenie. Opowiedziawszy to ojcu poszedł z nim odmurować dziewczynę. Dziewczyna zaraz poznała ojca. Zaraz też ojciec przebrał się za żebraka i poszedł do zamku. Tam właśnie odbywało się wesele paniczki ze stangretem. Był to ten sam stangret, który dał koniowi trucizny. Gdy ojciec przyszedł do zamku, prosił o jałmużnę. Wtedy pani kazała go przywołać do środka zamku, pytając czy wie coś nowego. Żebzak powiedział, że - wie i, zaczął mówić". Była sobie pewna kobieta, która miała córkę. Tę córkę kazała zamurować"... zapytał pani-co z taką kobietą zrobiłaby... Pani odpowiedziała, że taką kazałaby rozzerwać czterema końmi. Wtedy żebrak dał się poznać i powiedział, że to ona właśnie jest tą złą kobietą.

Zamek zapadł się w ziemię z nie-dobrą macochą — i do dziś dnia na tem miejscu są trzęsawiska. —

Gilner Alfred

Wanda Pytlochówna.

Prawdziwe anegdoty plebiscytowe

Zachęcona artykułem „Młodego Krajoznawcy Śląskiego, nawołyującym do zbierania materiałów historycznych z okresu powstań i plebis-

cytu, przeprowadziłam „wywiad” z ojcem, który był pracownikiem Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu. Ojciec opowiadał mi szereg anegdot z tych czasów, które tutaj przytaczam.

I. „Karlik z Kocyndra” i pies Moryc.

Polski komisarz plebiscytowy w Bytomiu, Wojciech Korfanty, miał bardzo wiernego, ale zjadłego wilczurą. Znał on tylko swego pana i jego zaufanego woźnego, Jantę i wykonywał bezwzględnie tylko ich rozkazy. Pies ten nazywał się Moryc. Na wskazanie palcem osoby i wypowiedzenie słowa: „Orgesch”, Moryca już nic powstrzymać nie zdołało.

W gmachu Polskiego Komisariatu Plebiscytowego miał swoje atelier artysta malarz, „Karlik z Kocyndra”, prof. St. Ligoń. Pewnego wieczoru szedł on w lekkich pantoflach i białym płaszczu kąpielowym do łazienki na pierwsze piętro. Równocześnie wyszedł z biura Komisarz Plebiscytowy, a jego wyprzedził Moryc, galopując po pustym korytarzu. Zauważywszy białą postać „Karlika” z rudą szpicbródką, zaatakował go ostro. „Karlik” nie mógł się nigdzie schronić, bronił się, kopiąc Moryca nogami, raz lewą, raz prawą. Widząc jednak, że mu to nie wiele pomoże, „zaczął z innej beczki i wygłosił Morycowi następującą „berę”: — Moryc, psiakość, nie znasz malarza? Odczep się, pieronie, bo dostaniesz jutro kieszkę z... rycyną. — Zda się, żeby i „bera” Karlikowi nie pomogła, gdyby tymczasem nie nadszedł Komisarz i nie przywołał psa, mówiąc: „Daj spokój, Moryc, to porządny człowiek — nasz malarz”.

II.

Na Górnym Śląsku wysłały państwa koalicyjne wojska górskie, a więc: Francuzi — strzelców alpejskich, Anglicy — piechotę szkocką, włosi — karabinierów górskich.

Takie pojęcie o Górnym Śląsku mieli ci, co rozstrzygali o jego losie, zarzą-

dając plebiscyt.

Francuzi przywieźli ze sobą masę futer, bo sądzili, że „na wschodzie” Europy panują mrozy jak za czasów Napoleona I. w Rosji. Futra prędko spieniężyli i w postaci aparatów fotograficznych i maszyn do pisania odsyłali do swej ojczyzny.

Francuzi otwarcie popierali Polaków.

Anglicy natomiast mieli część żołnierzy w kratkowanych spódniczkach (Szkołów), z których się Polacy wysmiewali, a bojówki niemieckie miały dobre schowki za kratami szkockimi. Anglicy bowiem, za wyjątkiem Irlandczyków, unikali Polaków i byli do nich nieprzyjaźnie usposobieni.

Włochów uważano na Śląsku za tchórzów i lekceważono ich, bo — jak mówią — jedli żaby. Byli względem Polaków wrogo usposobieni.

III. Transport ziemniaków z Poznania na Śląsk.

W czasie powstania wszystkie czasopisma podlegały cenzurze. Polskie dzienniki plebiscytowe „Goniec Śląski” i „Oberschlesische Grenzzeitung” w Bytomiu przeglądał pierwotnie każdy dorazowo przed drukiem francuski porucznik Bonchez, ochotnik armii Hallera. Urząd ten odebrano mu jednak i powierzono złośliwemu Anglikowi, Mr. Loo. Mimo jednak cenzury, prasę polską bez wiedzy cenzorów rozwożono samochodami ciężarowymi po za Bytom na teren wojenny-powstańczy, a tylko w mieście ukazywała się „z okienkami skreślonych artykułów”.

Aby zmylić czujność cenzora, redaktorzy używali różnych dowcipów. Cenzorowi bowiem zwykle wystarczył już sam tytuł artykułu, by go skreślić lub zostawić.

Na Śląsku nie było ziemniaków. Polska miała ich nadmiar. Umieszczono więc w dziennikach tłusty nagłówek: „Wielki transport kartofli z Poz-

niania na Górny Śląsk". Gazetę rozchwytało. Artykuł pod takim tytułem przekonał nawet Niemców. Ale treść tego artykułu kartoflanego mówiła o zwycięstwach powstańców, rezolucjach, wiecach i dalszej agitacji plebiscytowej.

Anglik się ośmieszył — Cenzora zmieniono.

IV

Jak Niemcy zagrali

„Jeszcze Polska nie zginęła“

Niemiecki zespół muzyczny mandolinistów miał koncertować w Miejskiej Dąbrowie dla celów agitacyjnych niemieckich. Sokoli, którzy się o tym dowiedzieli „zaopiekowali“ się orkiestrą i delikatnie zmusili ją do wejścia w staw po pas. Tu pozwolili im grać, ale tylko hymn narodowy polski. Niemcy, chcąc, nie chcąc, zagrali „Jeszcze Polska nie zginęła“ i uzyskali za to hucz-

ne oklaski, pozwolenie na wyjście ze stawu i bezpieczny odjazd do Bytomia.

V

Orzeł polski z różgą

Międzysojusznicza Komisja rządząca i plebiscytowa na Górnym Śląsku wydała między innymi znaczki pocztowe. Tło znaczka stanowiły kominy i pola, z lewej strony ornament z napisem „Oberschlesien“, a z prawej „Górny Śląsk“. U góry i na dole nazwa oficjalna komisji w języku francuskim. Nad krajobrazem umieszczony był biały gołąb z gałązką oliwną (symbol pokoju) w locie w kierunku napisu niemieckiego „Oberschlesien“. Polacy twierdzili, że jest to biały orzeł z różgą, który musi wygonić Niemców z Górnego Śląska. Niemcy bezskutecznie starali się o zmianę tego „symbolu pokoju“ na znaczku górnośląskim.

Wszelkim swoim Współpracownikom, Czytelnikom, Prenumeratorom, i Przyjaciółom przesyła Redakcja „Młodego Krajoznawcy Śląskiego“

serdeczne życzenia

Wesołych Świąt
i Szczęśliwego Nowego Roku.

Równocześnie zawiadamiamy, że z powodu feryj zimowych następny numer pismka ukaże się 1. lutego 1937 r w zamian za to numer obecny zawiera

32 stron.

STYPA ANDRZEJ

Dożynki

Dożynki to staropolski zwyczaj, który zachował się do dzisiejszego dnia po wsiach.

Dożynki odbywają się przeważnie we dworze lub u bogatszych gospodarzy zazwyczaj w niedzielę. Widziałem je u dziedzica w Giebułtowie koło Krakowa.

Już od rana ledwo wstaną żniwiarzki, ubierają się w śliczne stroje krakowskie. Wkładają na siebie kwieciste suknie, następnie fartuszek, gorsety, a na szyję korale, u których z tyłu zawijają różnokolorowe wstążki; włosy przy bierają w kwiaty, zieleni i wstążki. Żniwiarze ubierają się w sukmany granatowe, na głowę wkładają rogatywki, a na sukmanę pas, nabijany ćwiekami i kółkami. U rogatywek i u kapelusza mają przypięte bukiety z mirtu, kwiatów i wstążek jakby drużbowie na weselu.

Tak cudnie przybrany orszak rusza najpierw rano do kościoła, aby poświęcić wieniec żniwny. Na przedzie jedzie kilku krakowiaków na koniach. Konie ich przybrane są we wstążki różnokolorowe i kwiaty. Za krakowiakami jadą trzy wozy, przybrane we wstęgi i kwiaty. na pierwszym jedzie przodownica z wieniec w otoczeniu żniwiarek i muzyki, na drugim żenicy z kosami, grabiami widłami i sierpami, wreszcie na trzecim ludzie ze wsi, kórzy się przylączają do orszaku. Wieniec żniwny, który jedzie na pierwszym wozie z przodownicą i ze żniwiarkami jest pięknie i nader misternie pleciony. Jest on upleciony z kłosów zboża, ukła danych z kilku kręgów, jeden krąg pszenicy, potem żytni, w końcu jęczmienny, a na samym dole owsiany. Wszystkie te

wienice układają jeden na drugim jakby koronę i razem związują. Na wierzchu umieszczają pęk sztucznych kwiatów i przybierają go w różne gałązki, np. świerka z szyszkami, orzecha z owocem itp. Do boków wienca żniwnego przypinają mnóstwo kolorowych wstążek i wtykają w niego cukierki i czekoladki w srebrnych papierach. Taki wieniec przepięknie wygląda i błyszczy się w promieniach słońca, a wstęgi fruują z wiatrem. Wieniec żniwny jest nieraz tak wielki jak duże koło u wozu, a ponieważ jest ciężki, dają pod niego dwa drążki, owinięte w bibułę, aby dobrze go można nieść. Z wieniec w ten to sposób przystrojonym udaje się orszak żniwiarzy do kościoła, gdzie podczas Mszy św. ksiądz wieniec poświęca. Po poświęceniu udają się do gospodarza, w tym wypadku do dziedzica, do dworu. Gdy są niedaleko dworu, wtedy śpiewają:

„Jedzie, jedzie zmęczeni z tej
drogi,

Daj nam, Boże, ujrzeć gospodarza
progi”

Gdy są już przy samej bramie, śpiewają:

„Niech nam będzie pochwalony
Nasz Pan Jezus, nasz!

Przyjeżdżamy z tym wianeczkiem,
Bo już na nas czas.

Otwierajże, panie, nowe wierzeje,
Bo się na polu już kłos nie chwieje,
Zaścielać panie, stoły i ławy,
Jedzie do ciebie gość niebawmy.

Plon niesiewa, plon, w gospodarza
dom.”

Po chwili, gdy ktoś otworzy im bramę,
wstępują na dziedziniec, na którym
mają się odbyć właściwe dożynki i śpie-
wają:

„Nie dziwcie się panowie,
Ze nas dość idzie,
Bo my ręce pozmagali,
Na tęgiem życie.”

A gdy naprzykład z dworu nikt jeszcze
nie wychodzi, to wywołują gospodarza
śpiewając:

„Nie krycie się panie, przed nami
Bo my cię widzimy za oknami,
Bośmy się przed wami nie kryli,
Kieśmy się po polu nachodzili, naro-
bili.”

Po chwili nastaje cisza, ponieważ dzie-
dzic z żoną, panienkami i paniczami wy-
szedł. Prządownica wtedy sama zaczę-
ła śpiewać:

„Wyrosła byliczka na odłogu,
Skończyliśmy pszeniczkę chwała Bogu
Plon niesiewa plon,
W gospodarza dom.”

Po śpiewie prządownicy cały orszak za-
czyna śpiewać:

„Oj wyleć, wyleć szara przepiórko,
Bo już nie przyjdziemy w to półko,
Oj wyleć, wyleć, siwy sokole,
Bo już nie przyjdziemy w to czyste
pole

Latają ptaszki nad samym niebem,
Dożeliśmy żyłka ze starym chlebem,
Przepióreczka mała,

Gdzie się będziesz chowała?

My żytko wyżeli,
W snopki powiazali,
W kopki poskładali.
Żeby zboże plonowało
Po sto korcy z mendla dało.
Dałby wam to Bóg.

Gdy orszak przestanie śpiewać,
wtedy prządownica wręcza dziedzicowi
wieniec żniwny i przy tym składa w
imieniu wszystkich żeniców życzenia.

Następnie dziedzic wygłasza prze-
mowę, w której dziękuje całemu orsza-
kowi za pomoc przy żniwach. Po prze-
mowie dziedzica każdy z pośród orsza-
ku śpiewa dziedzicowi jakąś piosenkę,
ułożoną przez samego siebie, np:

„U naszego pana czerwona podłoga,
Zjeżdżają się ludzie jak do Pana Boga,
U naszej paniusi chleb dobry być musi
Kto go pokosztuje, ten się obliżuje.”

Najżłośliwsze zwrotki śpiewają tym,
którzy na polu doglądają roboty, np.

„A na łące wielka rosa,
Nasz ekonom niby osa.”

Po tych śpiewach dziedzic zapra-
sza cały orszak na zabawę.

Na dziedzińcu zastawiają stoły, na
których kładą kołaczki, wódkę, kielba-
sę, ser, a na samym końcu dają beczkę
piwa. Po tym zaczynają się tańce. Do
pierwszego tańca bierze dziedzic przo-
downicę, również paniczki tańczą z żni-
wiarkami, po tym państwo odchodzą,
a żenicy bawią się ochoczo aż do rana...

Śląsk a Polska

(dokończenie)

Ludność Śląska Opolskiego coraz wyraźniej uświadomiła sobie swoją polskość. Wybory do parlamentu Rzeszy, przeprowadzone w roku 1907, przyniosły liście polskiej już 115 tysięcy głosów i 5 mandatów poselskich. Odrodzenie narodowe Śląska Górnego staje się faktem. Ducha polskiego podtrzymują liczne gazety (jak Górnoślązak, Gazeta Robotnicza, Nowiny i wiele innych), oraz popularne wydawnictwa, wśród których pierwsze miejsce zajmowały wydawnictwa im. Karola Miarki w Mikołowie. Rozwijają się coraz lepiej różnorodne polskie organizacje, stowarzyszenia, jak „Sokół“, towarzystwa śpiewacze, teatralne itp., które różnymi drogami dążą do jednego celu, jakim było utwierdzenie polskości Górnego Śląska. W miarę jednak rozwoju polskości wzrastały i prześladowania ze strony Niemców, którzy zaskoczeni niespodziewanym dla siebie rozszerzaniem się narodowego ruchu polskiego na terenie, który od dawna przywykli uważać za całkowicie swój, tym zacieklej poczęli tę polskość dławić. Wzrastała ilość procesów i bezustannych szykan władz administracyjnych, rozwijał coraz gorliwszą działalność osławiony „Ostmarkenverein“, a godząca w polskość ustawa osadnicza doprowadziła do niejednej tragedii. Słynna była sprawa śląskiego Drzymały, inwalidy Chróścza z Pszowa koło Rybnika, którego szykany władz pruskich doprowadziły do

zamordowania żandarma pruskiego i samobójstwa.

Wojna światowa, jaka w roku 1914 wybuchła, powstrzymała chwilowo rozkwit życia polskiego na Śląsku. Tysiące uświadomionych Górnoślązaków, jako żołnierze pruscy, poszło walczyć i ginąć za obcą, wrogą sprawę. Zwycięstwa niemieckie zdawały się przekreślać na zawsze marzenia polskich działaczy na Śląsku. Słynne orędzie Wilsona z 8. I. 1918 r., zawierające znane 14 punktów, było pierwszym promieniem nadziei na lepszą przyszłość, listopad roku 1918 rozbudził na Śląsku Górnym wielkie nadzieje. Miażdżąca, zdawało się niezwyciężona potęga niemiecka, waliła się w gruzy, do głosu dochodziły ludy. I lud śląski sądził, że nadszedł czas wyzwolenia się z przemożnej pruskiej niewoli. Przewrót jednak polityczny, jaki w następstwie klęski państw centralnych nastąpił niewiele zmienił na Śląsku. Naród niemiecki, wychowany od czasu Bismarcka w niesłychanym, butnym szowinizmie, niewiele zmienił się w stosunku do Polaków, mimo zmiany form rządu. Zarząd rejencji opolskiej, dostał się w ręce niby socjalisty Hörsinga, który postępowaniem swoim prześcignął najbardziej szowinistycznych poprzedników. Pod wpływem prześladowań zaczyna teraz na Górnym Śląsku świtać myśl zbrojnej walki z ciemniznami. Tworzą się tajne organizacje, których celem jest wyzwolenie

Śląska, a najżywotniejszą z nich jest Polska Organizacja Wojskowa. Tymczasem sprawa Górnego Śląska stała się przedmiotem obrad Konferencji Pokojowej, jaka się zebrała w Wersalu. Pierwotnie, w myśl żądań polskich, cały Górny Śląsk miał przypaść Polsce, tak też opiewały warunki pokoju, przedstawione Niemcom w dniu 7. maja 1919 r. Wrocie stanowisko, jakie względem Polaków zajął premier angielski Lloyd George, doprowadziło do zmiany pierwotnych postanowień, a Traktat Wersalski za warty 28. VI. 1919 między Koalicją a Niemcami, postanawiał, że o przynależności Górnego Śląska zdecyduje plebiscyt. Wzmoczony ucisk niemiecki na Śląsku doprowadził w nocy z 16 na 17 sierpnia 1919 r. do wybuchu pierwszego powstania, które objęło południowo-wschodnią część Górnego Śląska.

Złe uzbrojone i działające bez jednolitego planu oddziały powstańcze zostały niebawem rozbite, a resztki powstańców wycofały się na terytorium Polski. Mimo nieudania się, pierwsze powstanie doprowadziło do tego, że na Śląsk zjechała Komisja Międzysojusznicza z gen. Le Rond'em na czele, która objęła rządy nad terytorium plebiscytowym, a niebawem wojska francuskie, angielskie i włoskie okupywały Śląsk. W następstwie tego terror niemiecki się zmniejszył. Akeję przygotowania plebiscytu ujął w swoje ręce Polski Komisariat Plebiscytowy, na czele którego stanął Wojciech Korfanty, a równocześnie odradza się po poprzedniej klęsce P.O.W. Wieść o tym, że bolszewicy, z którymi Polska toczyła wojnę, stanęli u wrót

Warszawy, wywołała nową falę niemieckiego terroru. (Zamordowanie działacza polskiego dr. Mieleckiego w Katowicach i napad na wojska koalicyjne). Odpowiedzią na to ze strony polskiej był wybuch nowego powstania w nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 r., które zżyście rozprzestrzeniło się na cały prawie Górny Śląsk.

Zwycięzcy tym razem powstańcy wymogli u władz koalicyjnych usunięcie niemieckiej „Sicherheitspolizei“ i utworzenie policji plebiscytowej, złożonej w połowie z Niemców i Polaków. W dniu 20. III. 1921 r. odbył się na Górnym Śląsku wielokrotnie odraczany plebiscyt. Większość gmin oświadczyła się za Polską, większość jednak głosów, bo 707 tysięcy przeciwko 479 tysięcy głosom polskim, otrzymali Niemcy. Nieprzebierająca w środkach agitacja niemiecka, nie wszędzie istniejące uświadomienie narodowe, a przede wszystkim udział w plebiscycie 200 tysięcy emigrantów niemieckich zadecydowało o takim stanie. Biorąc pod uwagę wynik plebiscytu zażądał Polski Komisariat Plebiscytowy przydziału Polsce znacznej części Śląska Górnego po prawym brzegu Odry, do t. zw. linii Korfantego. Niespodziewana wiadomość, że Komisja Międzysojusznicza wbrew przyjaznemu stanowisku Le Rond'a zamierza przydzielić Polsce tylko powiat pszczyński i rybnicki, oraz skrawek katowickiego, wywołała wśród ludności polskiej ogromne wzburzenie i wybuch trzeciego, największego ze wszystkich powstania. Powstanie wybuchło z 2 na 3 maja 1921 r. a wzięło w nim udział 40 tysięcy powstańców. Było ono doskonale przygotowane

przez Polską Organizację Wojskową, to też zupełnie zaskoczyło Niemców. Z nadzwyczajną szybkością opanowali powstańcy znaczną część Górnego Śląska aż po Odrę, a więc prawie cały ten teren, do którego Polacy mieli pretensje. Niemcy, ochłonawszy z początkowej paniki, ścignęli na Śląsk z głębi Niemiec masy regularnych wojsk, które pod dowództwem gen. Hoefera usiłowały złamać powstanie. Kędzierzyn, Góra św. Anny i Gogolin były miejscami najbardziej zaciętych bojów, w których padło 1200 powstańców. Zanosilo się na długą i ząartą walkę, jednakże interwencja Komisji Międzysojuszniczej doprowadziła w końcu do zaprzestania kroków wojennych i stopniowej likwidacji powstania. Następstwem trzeciego powstania było znacznie sprawiedliwsze, niż w poprzednim projekcie potraktowanie praw polskich do Śląska Decyzją Rady Ambasadorów z dn. 20. X. 1921 r. Polska otrzymała 3221 km² i prawie 1 milion ludności, a więc czwarta część obszaru i prawie połowę ludności Górnego Śląska. W dniu 22. VI. 1922 r. wkraczające wojska polskie objęły przyznaną Polsce część Górnego Śląska w posiadanie.

— — —

Innym był cokolwiek przebieg wypadków na pozostającym do roku 1918 pod panowaniem Austrii Śląsku Cieszyńskim. Po rozpadnięciu się Austrii Polacy, zamieszkujący ogromną większość terytorium Śląska Cieszyńskiego, objęli w posiadanie tę część tego kraiku, w której stanowili bezsporną większość. Ugoda, zawarta w dniu 5. XI. 1919 r. między polską Radą

Narodową Śląska Cieszyńskiego a czeskim „Narodnim Vybozem“ za-
twardziła ten jedynie sprawiedliwy, bo zgodny z granicą etnograficzną stan rzeczy. Czesi jednak, wykorzystując walkę polsko-ukraińską, napadli w dniu 23. I. 1919 r. podstępnie na polski Śląsk Cieszyński, zajmując mimo bohater-
skiej obrony Bogumin, Karwinę i Cieszyn i posunęli się aż na linię Wisły. Przybycie posiłków z głębi Polski powstrzymało dalszą inwazję czeską. Za wdaniem się przedstawicieli koalicji ustalono linię demarkacyjną polsko-ceską w ten sposób, że cała dolina Olzy z Cieszy-nem, Trzyńcem i Jabłonkowem pozostawała w ręku polskim, jednakże w Boguminie, Karwinie i Orłowej pozostali Czesi. O przynależności Śląska Cieszyńskiego miał zdecydować plebiscyt. Z początkiem roku 1920 obsadziły Śląsk Cieszyński wojska koalicyjne, a naczelna władza dostała się w ręce Komisji Międzynarodowej. Do plebiscytu, który bez wątplenia wypadłby dla Polski pomyślnie, nie doszło, wskutek najazdu bolszewickiego, bowiem Czesi za poparciem Koalicji uzyskali zgodę Polski na to, że oznaczenie granic polsko-czeskich odbędzie się nie na podstawie plebiscytu, ale na mocy decyzji Rady Ambasadorów. Decyzja ta, wydana w dniu 28. VII. 1920 r. przeprowadziła podział Śląska Cieszyńskiego jeszcze mniej korzystny od decyzji, ustalającej z początkiem roku 1920 linię demarkacyjną, gdyż dolinę Olzy wraz z Jabłonkowem, Trzyńcem i częścią Cieszy-na oddano Czechom wraz z 150 tysiącami polskiego ludu, oraz z niezmiernymi bogactwami zagłębia karwińskiego.

Z obydwu części Śląska, jakie decyzją z 28. VII. 1920 r. i z 20. X. 1921 r. przyznano Polsce utworzono województwo śląskie. Odzyskała więc Polska przynajmniej skrawki ziemi śląskiej, znacznie większe jednak obszary wraz ze setka-

mi tysięcy ludności polskiej pozostały przy Czechach i Niemczech. I o tych ziemiach, oraz o tych rodakach, którzy pozostali po drugiej stronie granicy, winniśmy pamiętać.

Kilka wiadomości o Województwie Śląskiem

Województwo śląskie jest najmniejszym co do obszaru województwem w Polsce. Powierzchnia jego wynosi 4.216 km². Ludności liczy 1.300 tysięcy. Gęstość zaludnienia województwa śląskiego wynosi więc 310 ludzi na km². Najgęściej zaludnioną częścią województwa śląskiego jest powiat świętochłowski, gdzie na km². przypada 2.500 ludzi. Najrzadziej zaś zaludnionym powiatem, jest powiat lubliniecki, w którym gę-

stość zaludnienia wynosi zaledwie 65 ludzi na km². Pod względem administracyjnym województwo śląskie dzieli się na 8 powiatów (bielski, cieszyński, pszczyński, rybnicki, katowicki, świętochłowski, tarnogórski i lubliniecki) oraz 3 miasta wyłączone (Katowice, Chorzów i Bielsko), stanowiące same dla siebie powiaty miejskie. Miast jest w województwie śląskim 18, gmin wiejskich 385.

Głębica J.

Historia Rudy Śląskiej

Miejscowość Ruda, jak już sama nazwa o tem świadczy, pochodzi niewątpliwie od rudy żelaznej, którą tu niegdyś wydobywano i przetapiano. Niniejszy szkic historyczny oparłem na wiadomościach, zaczerpniętych od osób starszych, oraz z aktów udzielonych mi przez Zarząd Gminy Ruda.

Pierwszym budynkiem w Rudzie był tak zwany „Stary Zamek“, którego nadzwyczaj grube mury pozwalają się domyślać, że był własnością

magnata. Jak wszystkie dawne zamki były otoczone dla bezpieczeństwa rowem z wodą, tak i ten posiadał to samo ubezpieczenie. Ponadto z piwnic zamku prowadził do sąsiedniej miejscowości Biskupic tajemny ganek, który w razie niebezpieczeństwa umożliwiał mieszkańcom zamku ucieczkę. Kto właściwie zbudował zamek, tego nie można stwierdzić. Można tylko przypuścić, że zamek ten wybudował jakiś rycerz, a to że

względem na jego wybitnie obronny charakter.

Z biegiem czasu zamek zaczął podupadać, a w końcu opuszczony przez właściciela dostał się w ręce „Raubritterów”, grasujących w XIII wieku w tutejszych okolicach. W roku 1475 Ruda była własnością biskupa wrocławskiego. Ten w roku 1540 sprzedał Rudę Janowi Gierałtowskiemu z Kończyc. Nowy właściciel wybudował tutaj pierwszą hutę żelazną, odnowioną i ulepszoną w roku 1650. W hucie pracowali wówczas 10 robotników. Po wyczerpaniu się rud w miejscu, zaczęto rudę sprowadzać z Piekar.

Koło roku 1770 odkryto na terenie Rudy węgiel kamienny. To też następny jej właściciel Wolfgang von Stechow założył tu w roku 1785 pierwszą na Śląsku kopalnię węgla „Brandenburg”. Była to kopalnia bardzo prymitywna, coś w rodzaju dzisiejszych „bieda-szybów”. Około 30 robotników wydobywało tyle węgla ile potrzebowano na miejscu zwłaszcza dla huty „Karol” i „Berta”. W roku 1798 przeszła Ruda w posiadanie rodu hr. Ballestrema, do którego po dziś dzień należy. W tym czasie Ruda liczyła zaledwie 800 mieszkańców, trudniących się rolnictwem oraz pracujących ciężko w kopalni lub w hucie.

Po zniesieniu pańszczyzny (po roku 1848), los ludu znacznie się poprawił, a nawet hr. Ballestrem pozwolił na wybudowanie szkoły ludowej, która stała na miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się „Dom Narodowy”. Przedtem uczęszczały dzieci do szkoły do Biskupic. Również kościoła nie było na miejscu, tak, że ludność musiała chodzić na nabożeństwa do Biskupic. Wprawdzie w roku 1859 wybudowano kapliczkę na kolonii Karola obok huty cynkowej „Berta”,

lecz nabożeństwa odprawiano w niej raz na miesiąc.

Pierwszy kościół zbudowano w roku 1869 pod wezwaniem „Matki Boskiej Różańcowej”. Do roku 1874 odprawiali w nim nabożeństwa O.O. Jezuici, lecz w czasie „Kulturkampfu” musieli Rudę opuścić. Kościół ten objęli znów Jezuici po złączeniu Górnego Śląska z Polską w roku 1922. — Przedtem jednak pełnili w tym kościele duszpasterstwo: ksiądz Schöneich, późniejszy proboszcz w Zaborzcu, ksiądz Klein, ksiądz Buchwald, (późniejszy kanonik w Bytomiu), ksiądz Ogan, obecnie proboszcz w Nowej Wsi koło Opola. Zaraz po wybudowaniu kościoła pod wezwaniem M. B. R. powiększono kapliczkę, która służy po dziś dzień młodzieży gimnazjalnej. W latach 1901 do 1904 wybudowano nowy, piękny kościół pod wezwaniem św. Józefa. Kościół ten podarował hr. Ballestrem nowo powstałej gminie kościelnej w Rudzie. Pierwszym proboszczem był ksiądz Ogan, potem ksiądz Nossol, następnie po śmierci księdza Nossola zarządzał parafią ksiądz Śliwka, a obecnie proboszczem parafii św. Józefa jest ksiądz radca Skrzypczyk. O.O. Jezuici mają też w Rudzie swoją parafię, do której należy: kolonia Szczęść Boże, Ruda Południowa, oraz część Rudy centralnej.

Od roku 1813 wiąże się historia rodu hr. Ballestrema z Karolem Godulą. Ten zakupił od hr. Ballestrema hałdy żużlu za 300 talarów, na czym po przetopieniu zarobił na czysto 50.000 talarów. Za te pieniądze nabył dobra rycerskie Orzegów, Lipiny, Bobrek i Szombierki. Na tych terenach założył kopalnię węgla i hutę cynkową. Chociaż był bogaczem to mieszkał stale z gospodynią Gryszczykówną (vel Gryzikówną) w starym domu, który do dziś dnia na terenie dworu w Rudzie istnieje. Ponieważ

Godula był kaleką stał się z tego powodu opryskliwym i pochmurnym, więc go ludzie unikali, a nawet się go bali. Stąd też na jego temat powstawały różne bajki i legendy, które dotychczas wśród starszego pokolenia przetrwały. Godula zmarł w roku 1848 na cholere. Cały jego majątek odziedziczyła córka jego gospodyni — Joanna, która otrzymała później tytuł szlachecki i wyszła za mąż za hr. Schaffgotscha.

W dwa lata przed śmiercią Goduli wybudowano kolej żelazną, którą przeprowadzono za jego staraniem przez Rudę. W roku 1850 nawiedził Rudę straszny pożar, który zniszczył połowę wsi. Po pożarze przysła epidemia cholery, która zabrała wiele ofiar. Wszystkich zmarłych na cholere pochowano we wspólnym grobie koło wiaduktu kolejowego pomiędzy dworem a kolonią „Szczęść Boże”. Do dziś dnia istnieje tam kurhan, na szczycie którego stoi duży drewniany krzyż.

Lata 1854 — 1855 były dla Rudy „złotym wiekiem”. Gospodarz zarabiał wtedy za odwóz węgla z kopalni do dworca w Rudzie do 100 talarów, to też liczba ludności wzrosła do 3242. W kopalni zatrudnionych było 1045 górników, a w hutach pracowało 206 robotników. Tak świetnie rozwijającą się miejscowość nawiedził znów w roku 1868 trzykrotny pożar, który jednak mniej szkody wyrządził, niż pożar w roku 1850.

Wojna prusko-francuska (1870 — 1871) spowodowała dalszy rozwój przemysłu. Liczba mieszkańców dosięga w tym czasie około 7000, a miejscowość zaczyna coraz więcej zyskiwać na znaczeniu. W roku 1885 objął kierownictwo kopalni hr. Ballestrema, dyrektor Pieler, pochodzący z Wetsfalii. Za jego czasów powstały nowe kopalnie jak: „Castellengo”,

„Wolfgang” i „Szyb Leona”, zaś kopalnię Brandenburg (dziś Wawel) zreorganizowano. W roku 1888 powstała elektrownia pod nazwą „Elektrownia Mikołaj”, dostarczająca prądu elektrycznego dla własnego użytku kopalni, oraz oświetlenia elektrycznego dla mieszkańców. W związku z powstaniem nowych kopalni zaczęła wzrastać liczba robotników, a zarazem mieszkańców Rudy. W latach 1885-1913 datuje się ogromny przyrost ludności, który podskoczył z 7000 na 19.000. Dla ludności tej wybudowano domy mieszkalne, szpital, (obecnie z powodu zarysowania rozebrany), **gimnazjum**, następnie różne instytucje dobroczynne, jak: kuchnie ludowe, park i t. p.

Również w roku 1913 powstała w Rudzie Południowej kopalnia „Hrabia Franciszek”.

W okresie wojny światowej poległo przeszło 400 obywateli z Rudy. Jest to również okres intensywnych prac konspiracyjnych na terenie Rudy we wszystkich organizacjach polskich. Jedną z pierwszych organizacji na terenie Rudy było „Towarzystwo św. Alojzego” oraz „Zjednoczenie Zawodowe Polskie”, z którego po powrocie wyłoniła się Narodowa Partia Robotnicza.

Po wojnie założono tajną organizację wojskową P.O.W. W czasie plebiscytu 60% ludności oddało swe głosy za Polską, mimo silnej agitacji niemieckiej. W pierwszym i drugim powstaniu ludność Rudy nie odegrała poważniejszej roli, chociaż nie obyło się bez krwawych ofiar, (skatowanie i zamordowanie nauczyciela polskiego śp. Wincentego Janasa). W trzecim powstaniu nastąpiło oswobodzenie Rudy i zajęcie jej przez wojska powstańcze, które następnie ruszyły dalej na zachód, ażeby tam walczyć o Śląsk.

Dnia 15. VI. 1922 następuje objęcie władzy przez Polskę. Radość obywateli nie miała granic; na domach łopotały dumnie polskie sztandary, a na uśmiechnięte oddziały polskich żołnierzy ciągnących ulicami Rudy sypały się z okien kwiaty. Wołano: „Niech żyje Polska!”

W roku 1922 utworzono osobny powiat rudzki z gmin i obszarów należących do dawnego powiatu zabrskiego. Powiat ten istniał do r. 1924. Obecnie Ruda należy do powiatu świętochłowickiego.

Obecnie znajduje się w Rudzie osm szkół powszechnych, (jedna jest w budowie), Komunalne Gimnazjum Kształtacyjne o pełnych prawach publicznych, Sąd Grodzki, Urząd Poczty, Komisariat Policji Państwowej, dwa dworce P.K.P. jeden w Rudzie

na linii Ruda — Katowice, Ruda — Gliwice — Wrocław, drugi dworzec (Orzegów) na linii Orzegów-Chebie, Orzegów — Bobrek — Bytom. Z dworca kolejowego Ruda wyjeżdża dziennie do Katowic i do Gliwic 16 pociągów osobowych. Ponadto ordynuje w Rudzie kilku lekarzy i dentystów, są dwie drogerie, jedna apteka dwie biblioteki i czytelnia T.C.L., hotel „Piast”, dwa kina, oraz kancelarie adwokackie.

Kursują również co godzinę pomiędzy Rudą i Katowicami, dalej Rudą a Bielszowicami, autobusy Ś.L.A. Ponadto istnieje kolej wąskotorowa kursująca na linii Ruda Południowa-Chorzów i Ruda Południowa-Zabrze.

Spółeczeństwo rudzkie zorganizowane jest w 72 organizacjach zarejestrowanych.

MORGAŁA NORBERT.

Na odpusćcie w śląskiej osadzie

Z wysokiej, dumnie ponad całą okolicę sterczącej wieży kościelnej, rozchodzą się na cztery światy strony cztery potężne uderzenia: Stary zegar daje znać o sobie...

Słońce ma się ku zachodowi. Żłocistymi promieniami zalewa obszerny plac...

Na placu faluje wielobrawny, niezliczony tłum. Na twarzach wszystkich maluje się uśmiech. Radość i bez troskość jeno tutaj królują. Karuzele, różne odpustowe cyrki i budy, zda się, toną w ogromnym morzu ludzi. Panuje nieopisany gwar. Ze wszechstron dolatują dźwięki muzyki. Tu

i ówdzie wydziera się straszliwym głosem katarzynka. Tam prym prowadzi orkiestra, huczy bas, wtóruje mu piskliwy flet, zaczyna się co chwilę trąbka, a każdemu z osobna akompaniuje wszechwładny bęben.

Krysia i jej brat Staszek są oszołomieni. Pierwszy raz w życiu widzą coś podobnego. Nie chcieli z początku wierzyć staremu Śląskowi, który im opowiadał o śląskim odpusćcie. Teraz jednak, kiedy oczy ich oglądają rzeczywistość, nie mogliby mu już nie wierzyć, przeciwnie, czują do niego coraz większą sympatię. Żalują nawet, iż nie przyszedł z nimi, mogliby

przecież tutaj dowiedzieć się od niego wiele jeszcze ciekawszych rzeczy.

Krysia i Staszek stanęli pod karuzelą. Stali się świadkami rozmowy:

— Jeronie! Joby sie bała tak wysoko jechać!

— Głupiość! To ci sie ino tak zdo.

— Ale to jest tak wysoko! Patrz! Takie wielkie koło. Jakbych była na wiyrehu, tobych umarła.

— Aleś głupio, Anno! Takos wielgo, a sie boisz jak taki bajtlik!

— Ino bez tego „głupio“.

— No, to jedzies?

— Jo... jo... sie... jednak boja.

— Ale ,ale, ino pójdź, jak bydy my na wiyrehu, to zamkniesz łoczy!

— Jo sie ale boja...

Krysia patrzy w oczy Staszka i wybucha śmiechem, a braciszek też ledwo wstrzymuje się od śmiechu. Ale zakiełkowała w nim ciekawość: Co to za dziwna para? Dlaczego ta kobieta tak się boi, przecież liczy przynajmniej dwadzieścia lat? Czy przejażdżka na tej karuzeli może naprawdę wzbudzać u człowieka tyle obawy? Nonsens! Zwraca się do siostry, czy nie chciałaby się zabawić troszeczkę na owej karuzeli. Siostra otworzyła usta, lecz rychło je zamknęła. Brat patrzy na nią zdziwiony, a ona, zarumieniona nieco, bierze go pod rękę i rusza za ową parą. Brat ją rozumie...

Siedzą na karuzeli, naprzeciw tej pary. Krysia jest trochę niespokojna, serduszko jej mocno trzepocze. Ledwo słyszy, jak goście z przeciwnej strony rozmawiają:

Anno, widzisz. Chnetka łodja-

dymy!

— Jo sie tak boja.

— Skońc już z tym „jo sie boja“, bo mi to już na nerwach gro!

— Iiiii... już pierona! Słuchej

— Niy rycz, pierona. Słuchej ino, jak ta kapela piyknie gro.

— Alfred, jo sie tak boja.

— Pieronie!

Staszekowi mimowoli zachciało się śmiać na głos, lecz w tej chwili poczuł, że siostra kurczowo lgnie do niego. Jest blada, wargi jej nieco drżą. Jeszcze bardziej chciało mu się śmiać i... nie wytrzymał. O dziwo, oblicze siostry natychmiast się zmieniło, na policzkach ukazały się cudowne dołeczki, zaśmiała się. Braciszek ją rozumie...

— Alfred?

— No?

— Jo sie już nie boja.

— No...

Krysia też już się nie boi...

Zeszli z karuzeli.

Krysia i Staszek oraz wiele innych ludzi rozweselili się rześściami na karuzeli, pospolicie zwanej diabelnym młynem. Bo jest to naprawdę diabelna rzecz: Duże, na 8 metrów może, zaopatrzone w kolebki z siedzeniami, koło, które prowadzi kolebki raz do góry, raz na dół.

Krysia i Staszek ruszają dalej. Od karuzeli dolatują jeszcze do ich uszu piskliwe krzyki niewiast. Tuż jednak opodal widzą grupkę ludzi. Otacza szczerlnie stół, za którym stoi gruby jegomość, bez przerwy mieląc językiem:

— ... Wto niy ryzykuje, tyn niy wygrywo! Grać a niy stać! Koždy wygrywo, nikt niy przegrywo! Środkowe wygrywają, prawe wygrywają, lewe wygrywają! Grać a niy stać! Wto niy ryzykuje, tyn niy wygrywo! Uwaga: roz —

wygrane, dwa — wygrane, trzy wygrane!

Drugi i trzeci raz, to tyn pieron sie som wygroł — wtrąca ktoś z przypatrujących się.

— ... Pódź — mówi inny do kolegi — łon i tak łoszukuje.

Krysię i Staszka zabolaly uszy. Odchodzą.

Gwar staje się z każdą chwilą większy. Dzieci, jak zwarzowane wydzierają się na trąbkach, gwizdkach, piszczalkach i, Bóg wie, na czym jeszcze. Ludzi coraz więcej. Ponad tłumem unoszą się różne kolorowe i różnokształtne bańki.

Przed oczami Krysi i Staszka przesuwają się coraz to nowe rzeczy. Tutaj widzą przyrząd, na którym mężczyźni mierzą swoją herkulesową siłę, tam kręci się „maszyna“, najwięcej jednak jest „przyrządów“ do opróżniania ludziom kieszeni. Trudno jest nawet, wszystko pamiętać, tyle tego jest.

Krysia dziwi się, dlaczego ludzie za opłatą 10-cio lub 5-cio groszową rzucają piłeczkami do dołków i tym podobne hece wyprawiają, by przegrywać, lub jeśli fortuna dopisze, wygrywać mało wartościowe rzeczy. Nie rozumie bowiem, że to musi być, że bez tego cały odpust byłby nudny i do niczego.

Krysia interesuje się karuzelami. Staje z bratem pod jedną, która nosi nazwę „piekła i nieba“. Przygrywa orkiestra jazzowa. Dzisiaj wybrała sobie ta orkiestra jakiś przebojowy szlagier i męczy go bez przerwy od początku. Inna karuzela, a na niej człowiek fruwa w powietrzu niby Ikar, inna znowu kręci się w tempie marsza pogrzebowego. Jeżdżą na niej wyłącznie dzieci.

Naraz Krysia i Staszek słyszą gromki głos. Momentalnie obrócili się i patrzą: Niedaleko od siebie widzą coś niezwykłego. Wielka mnogość ludzi, zbitych jak śledzie w beczce, stoi przed jakąś budą. To jest cyrk, wiedzą już o tym. Przed cyrkiem, na wzniesieniu, odbywa się „przegląd sił artystycznych“. Teraz już rozumieją. Błażen oblepiony na całej twarzy maseką, ubrany w fantastyczny, błazeński strój, jest źródłem owego potężnego głosu. On to ryczy przez tubę, chcąc tym sposobem zwrócić powszechną uwagę tłum.

Błażen odłożył tubę, orkiestra zarządnęła marsza. Skończyła. Przed publiczność wychodzi inna osoba, która objaśnia program przedstawienia:

— Matulki i Tatulki, dziolchy i karlusy, chłopcy i baby!

Krótką przerwa. Mówca przybiera minę bardzo poważną i mówi dalej:

— Przyjchali my sam na krótki czas z naszym światowym programem! U nos możecie widzieć liliputów, kobyta bez ręków i nogów, baba, co mo dwa metry długi kark, tytułowano kobyta!

Krysia i Staszek zdążyli już przebiec się przez ściśniony tłum ludzi. Ostatnie słowa słyszeli już całkiem dokładnie. Tytułowano kobyta? Jedno patrzy na drugie i kiwają głowami, nie rozumieją.

— Ja, ta tytułowano kobyta, to niy jest tak tytułowano, jak ta z buchenwaldu w Hajdukach! Słuchajcie ino, ta z buchenwaldu mo ino serce na lewyj nodze, a już wszystkie stare chłopcy lecom ją tam łogładać! Jakby to ino jejch baby wiedziały, toby już dostali warzechami po łebie! Ja, ale ta, co u nos

wystempuje, to mo cały książkę z łobrozkami na plecach, rękach i nogach! Tam możecie widzieć lwa, tigra, krokodile, murzyna, palmy, pierona, wszystko, co ino chcecie. A wszystko za trzy ceskie! Pójdźcie sam matulki i tatulki, dziolchy i karlusi, chopi i baby! Ino trzy ceskie! Drugi roz niy bydziecie taki program widzieli! Pryndzj, ino trzy ceskie...

Krysia i Staszek już zrozumie-li, co to oznacza „tytułowana ko-biyta“. Zaśmiali się tylko i patrzą, jak tłum, podniecony taką „oracją cyncerońską“ zareaguje na nią. Pu-bliczność jest zachwycona, rzuca się gwałtownie do kasy i formalnie bije się o bilety wstępu.

Po chwili są już pod drugą bu-dą:

— ...Halo, uwaga. Halo, uwa-ga! Uważajcie wszysey dobrze, młodzi i starzy. Halo, uwaga. Dzi-siej wystompi u nos największy hi-pnozer świata, Milo-Minko. (Za-grzmociły fanfary, a przed publi-cznością stanęła postać, okryta cy-

lindrem, trzymająca w prawej ręce „laskę czarodziejską“.) Szanowno publiczność! Milo-Minko, najwięk-szy hipnozer świata, hipnozytiyru-je z tom laskom czarodziejskom lu-dzi, a także koty, szczury, myszy, psy i inne zwierzęta. Z tom laskom czarodziejskom zamiynio woda w gorzola, a z jajka robi w pięć minu-tach kokota. Dalej robi jeszcze różne sztuczki czarodziyskie, które jednak szanowna publiczność ujrzy w cyrku. A cyrk nasz mo niyprze-makalne płótno. A tu jest jego u-czeń. (Orkiestra odzywa się zno-wu). Łon tyż hipnozytiyruje, ale ino ludzi. Tyn zaś tyko noże (Or-kiestra gra, wychodzi nowa osobi-tość, ubrana na sposób fakira in-dyjskiego), gryzie szkło, depto na szkle, leży na gwoździach. Szano-wno publiczność! Wstęp kosztuje ino 50 groszy dla dorosłych, a trzy ceskie dla dzieci. Pójdźcie, niy bój cie sie. Przekonacie sie na wasze łoczy, iż Milo-Minko jest najwięk-szy hipnozer świata.

Krysia i Staszek oddalają się od bud odpustowych...

Wójcik Józef.

Dożynki w Wielkiej Dąbrowce

Dożynki w Dąbrowce Wielkiej odbywają się stale w jednym i tym samym każdego roku terminie, to znaczy w drugą niedzielę października. Ja jednakowoż opiszę do-żyńki zeszłoroczne, ponieważ tego roku byłem tylko na części uroczy-stości dożyńkowych.

Organizowaniem dożynek w Wielkiej Dąbrowce zajmuje się Kół-ko Rolnicze. O godzinie 9-tej rano

wszysey rolnicy, należący do Kół-ka Rolniczego, zebrali się na pod-wórzcu domu prezesa, a z nimi rów-nocześnie wszystkie osoby, które mają bezpośrednio wziąć udział w uroczystościach dożyńkowych. O godzinie kwadrans na dziesiątą na-stąpiła zbiórka, a po zbiórce orkie-stra zagrała hymn narodowy, zaś po hymnie pieśń: „Boże z twoich rąk żyjemy“. W czasie, gdy orkie-

stra grała, druźbowie i druchny wyszli z wieńcem z domu prezesa na podwórze, a potem w takt marszu udał się cały pochód do kościoła. Pozostała ludność, która dotychczas biernie się patrzyła na całą tę uroczystość, dołączyła się do pochodu. Na przedzie pochodu niesiono wieniec żniwny, który ulokowano w kościele. Opiszę tutaj, jak wygląda taki wieniec. Szkielec wieńca stanowi drut, któremu nadano kształt. Na drut owija się kłody ze wszystkich gatunków zboża, a więc jedno półkoło korony jest uplecione z kłosów żyta, drugie z pszenicy, trzecie z owsa, a czwarte z jęczmienia. Koło korony również jest oplecione kłosami wszystkich czterech gatunków zboża. Między kłosami umieszcza się owoce, jarzyny, jak jabłka, winogrona, gruszki, ziemniaki i buraki. Główną i najważniejszą ozdobę wieńca stanowią maki, habry, i kaskole, misternie wykonane z papieru, oraz wstążki, zwisające od spodu wieńca, wreszcie sześć dużych wstążek, które niosą druźby i druchny. Duże wstęgi są rozmieszczone parami. Wstążki rozmieszczone są w ten sposób, że na przedzie wieńca znajduje się para wstążek różowych, następnie para fioletowych, a na końcu znowu para zielonych. Cały wieniec wu para zielonych. Cały wieniec umieszczony jest na drążku, który niesie czterech druźbów. Przejdę jednak do dalszego opisu uroczystości. Po wysłuchaniu okolicznościowego kazania, z kolei nastąpiła uroczysta Msza św. z Wystawieniem. Ministrant, zadzwoniwszy na Mszę św., dał znak, że Msza św. się rozpoczyna, a równocześnie muzyka na chórze zagrała fanfarę, od której, aż się mury kościelne zatrzęsły. Ks. proboszcz, poświęciwszy wieniec, zaczął Mszę św., w czasie której śpie-

wano pieśni do Boskiej Opatrzności i N. M. P. Różańcowej. Po Mszy św. nastąpiło uroczyste Te Deum i błogosławieństwo. Cała uroczystość kościelna trwała dwie godziny. Po skończonym nabożeństwie pochód ruszył do restauracji Szymona Zioly, gdzie nastąpiło jego rozwiązanie. Wieniec, jak już powiedziałem, pozostał w kościele. Zdało by się niektórym, że na tym cała uroczystość się skończyła. Myliłby się jednak, takoby tak myślał. Po niesporach o godzinie 4-tej popołudniu znowu zebrali się wszyscy na podwórzu prezesa Koła Rolniczego. Obok dotychczasowych uczestników bierze udział w zbiórce i grupa młodzieży, która poniesie w pochodzie narzędzia żniwiarskie. A więc chłopiec poniesie kosę, jedna z dziewcząt wystąpi jako „ubieraczka“ ze sierpem, druga z grabiami, a trzecia to gospodyni ze śniadaniem, czy „sfacynom“. I znowu w takt marszów, granych przez orkiestrę, ruszył pochód do restauracji pana Zioly, zachowując ten sam porządek, jak przy pochodzie do kościoła. Patrzę i nie wierzę, co się się w tej Dąbrówce za cuda dzieją. Na przodzie pochodu znowu znajduje się wieniec żniwny. Początkowo myślałem, że uczestnicy tak na niby tylko ten wieniec w kościele zostawili, a po nabożeństwie znowu poń poszli, przekonałem się jednak niebawem, że to był drugi wieniec, zupełnie podobny do zostawionego w kościele, a tylko zamiast wstążek jedwabnych miał papierowe. Teraz dopiero na główną ulicę Dąbrówki wyległo mnóstwo starszych ludzi i chmara dzieci, przypatrujących się pochodowi. „Ależ to zaś bydom te babska miały o czym godać“, pomyślałem sobie. Skoro tylko pochód przeszedł, to i mrowie ludzi się rozeszło. Tymczasem, gdy wieś

pokładła się już do snu, na sali restauracyjnej w najlepsze rozpoczęła się zabawa. Ponieważ zabawa była przeznaczona tylko dla człon-

ków „Kółka Rolniczego“ i ich dzieci, nie mogłem wziąć w niej udziału poznać jej przebiegu, dlatego moją pisaninę kończę.

STYPA ZYGMUNT.

Wezwanie do pracy

*Skończone wakacje,
Zaczęła się szkoła,
Młody Krajoznawca
Znowu na nas woła.*

*Wrócili weseli
I zdrowi junacy,
Szkoła i piśmko
Wzywa nas do pracy.*

*Każdy z nas niech prędko
Do Redakcji bieży,
Po przerwie wychodzi
„Krajoznawca“ świeży.*

*I wszystkich ponownie
prosi do współpracy,
Piszcie do mnie często,
Kochani chłopacy.*

*Niech o Krajoznawcy
każda z was pamięta,
Piszcie w Krajoznawcy,
Kochane dziewczęta.*

*W pracy i wysiłku
Czas nam szybko mija,
Niech przez długie lata
pismo się rozwija.*

Ostenówna.

Powstanie Śląskie to wielka rzecz

Dnia 3-go maja 1936 r. obchodziliśmy 15-lecie powstania śląskiego. Ponieważ bardzo mało o tym wiedziałam, udałam się z koleżankami do byłego powstańca śląskiego, pana

Kulawika, terejana przy gimnazjum klasycznym. Był to pierwszy nasz wywiad. Nieśmiało więc przedstawiliśmy mu swoją prośbę.

Oto jak ten nasz wywiad wyglądał:

Proszę pana, mamy wielką prośbę. Chciałybyśmy poprosić, by pan był tak dobry i objaśnił nas trochę o powstaniu śląskim. Przecież to piętnastolecie. A my nie o

nim nie wiemy, a mamy nawet o tym zadanie napisać.

Wiecie, moje panny — odrzekł pan Kulawik, że ja nie lubię nawet o tych czasach wspominać, bo jak się tyle o nich mówi, to one spowszechnieją, nie są tak wielkie. No, nie wiem, jak to powiedzieć. Ale jak zadanie, to zadanie!

I zaczął nam opowiadać dzieje ruchu polskiego na Śląsku, począwszy od roku 1892, kiedy to Śląsk budzić dopiero się zaczął, aż do połączenia się z Polską.

A mówił tak ładnie, tak swojsko, z taką dumą, że Ślązacy prze-

łamali wszystkie trudności i że połączyli się ze swoją Macierzą, z taką radosną dumą, że i nam się jego wzruszenie udzieliło. W skróceniu tylko opowiadanie to tutaj przytoczę.

Ruch wolnościowy na Śląsku zaczynał się już bardzo dawno. Krzewili go i podniecali tacy działacze, jak Lompa, Miarka i i. Obejmował ruch ten przede wszystkim młodzież, która organizowała się w przeróżnych związkach. Nazwy tych organizacji mydliły Niemcom oczy, jednakże przeczuwali oni coś niedobrego dla siebie.

Z początku nie przypuszczali, że na tych zebraniach mówi się o przywróceniu Śląska do Polski. A tymczasem myśl ta obejmowała coraz szersze kręgi ludzi, którzy z biciem serca oczekiwali hasła wyzwolenia. Ludzie zaczęli czytać polskie gazety, interesować się swą Ojczyzną. Czuli, że oni muszą i powinni się nazywać Polakami.

Mijały lata. Ślązacy co prawda uzyskali to, że przedstawiciele ich zasiadali w parlamencie niemieckim, broniąc zajadle swej sprawy, że przyszła wojna, pogrom Niemiec i że był już plebiscyt, ale nie uzyskali tego, czego chcieli. Na mocy sfałszowanych wyników plebiscytu tylko drobna część Śląska wrócić miała do Polski, a reszta, Górny Śląsk miała pozostać przy Niemczech. Zawrzało w sercach Ślązaków „Nie damy się“ mówili sobie i powoli przygotowywali się do walki. Dzień powstania, trzeciego z rzędu, naznaczono na dzień 3-go maja 1921 r. Ślązacy rozlepili afisze z

programem obchodów, a pod tym wszystkim kryło się wezwanie do walki. Oto jak mówił nam o tym p. Kulawik.

Na takim afiszu to było napisane „Francku. 2-go maja wieczór, od będzie się zabawa. Przyprawdź Kaśkę, Maryśkę, Zośkę, a nie zapomnij miotły“.

Tą miotłą miały być karabiny. Czy nie sprytni byli Ślązacy w walce o wolność?

Wieczorem 2-go maja doszło do krwawej rozprawy. Cały Śląsk zerwał się do walki. Pan Kulawik w tej chwili pracował na swej kopalni w Zabrze. Był on dozorcą i rozdawał górnikom marki kontrolne. Tego więc dnia, gdy przychodzili do niego górnicy po marki, pokazywał każdemu drzdi i mówił: „Leć do domu, nie wracaj mi bez broni, dziś będziemy Niemców bić“. Górnicy nie dawali sobie dwa razy powtarzać i nie długo prawie wszyscy stawili się na kopalni z bronią. Można sobie wyobrazić, w jakim stanie była to broń.

Tymczasem inżynier - Niemiec, widząc, że strajk przybiera groźne rozmiary, zjechał do Kulawika na dół i skrzyczał go. Ale ten mu śmiało odpowiedział: „Dzisiaj święto, bo Ślązacy będą walczyć o Polskę. My chcemy należeć do Polski“. Po tem rozpoczął telefonować do pobliskich kopalń, powtarzając te słowa. Nie zważał na to, że Niemcy mogli go zabić, nie zważał na to, że naraża siebie i swoją rodzinę.

Mówił nam, że czasami, gdy go

wyrzucono z posady, a dzieci głodne płakały w domu, taka rozpacz w nim szalała, że przeklinał siebie i wszystko, co mu było drogim, ale potem znowu brał się do pracy

I wywalczyły te szeregi powstańcze, często z lichą bronią, a jeno z wielkim ogniem w sercu, wywalczyły to, że Śląsk należy do Polski. Mówił nam pan Kulawik, że posiada krzyże i odznaczenia i że dziś szczęśliwym jest, iż i on pracował i poświęcał się sprawie wyzwolenia Ojczyzny.

Podziękowaliśmy mu, wzruszone do głębi serca, i długo, długo mówiliśmy o nim i o wszystkich powstańcach Śląskich.

Ja nie mogłam zasnąć tej nocy.

Zdawało mi się, że zbliżają się do mnie cienie poległych Polaków w walce o Wolność. I widziałam żołnierzy z najprzeróżniejszych okresów i bitew, a pomiędzy nimi i powstańców śląskich. Wszyscy wyryte mieli na sercu słowa: Bóg i Ojczyzna. Wpatrzona w te cienie, wywołane moimi myślami, uczułam, że nie jest godna zwać się Polką, że tak mało dałam z siebie Polsce, lecz zarazem poczułam, że w nas leży moc ukryta, że i my wiele, wiele zdziałać potrafimy, że nastanie przyszłość Polski tak jasna i promienista, którą my wyrujemy i tym splacimy na polu pracy dług naszej Ojczyźnie i poległym za nią rodakom.

Historia starego Chorzowa

Miejscowość Chorzów była w średniowieczu częścią składową ziemi bytomskiej i położona była tuż przy jej granicy południowo-wschodniej, poza którą zaczynało się państwo pszczyńskie. Podobnie do innych części Śląska, przechodziła także i ziemia bytomska w historii różne koleje. Były czasokresy, w których Bytom i okolica stanowiły samodzielne księstwa piastowskie, a później państwa stanowe, podległe tylko suwerennemu królowi. W innych czasach natomiast była ziemia bytomska połączona z innymi księstwami śląskimi, przeważnie z państwem opolskim. Po utworzeniu

odrębnych państw śląskich w roku 1163 jednak nie należała ona do Śląska i dopiero w roku 1180 odstąpił król Kazimierz Sprawiedliwy swemu krewnemu Mieczysławowi Górnośląskiemu, jako podarunek chrzestny dla jego syna Kazimierza, ziemię oświęcimską i bytomską, do których należała Pszczyna, Siewierz i Zator.

Podczas gdy Oświęcim, Zator i Siewierz tylko przez stosunkowo niedługi czas były oderwane od swej macierzy, pozostała ziemia bytomska i pszczyńska przez więcej niż siedem stuleci była pod panowaniem obcym, aż nareszcie po

ukończonej wojnie światowej, godzina powrotu na łono starej ojczyzny wybiła także dla nich, przynajmniej dla większości ich miejscowości, a pomiędzy nimi i Chorzowa.

Chorzów, jako miejscowość lub osada należy do najstarszych na Śląsku. Historia bowiem wspomina o nim więcej niż przed siedmiu wiekami, to znaczy niemal od początku wprowadzenia chrześcijaństwa w Polskę, przy czym najwięcej charakterystycznym momentem jest ta okoliczność, że już najstarsze wiadomości, które o Chorzowie posiadamy, mówią o tym, że miejscowość ta była w posiadaniu instytucji kościelnych. Poniekąd mogłoby to być uważanym za poświadczenie, że wspomniana miejscowość odegrała razem z Bytomiem wybitną rolę przy krzewieniu wiary chrześcijańskiej.

Najdawniejszym śladem historycznym o istnieniu Chorzowa jest znajdujący się w archiwum gnieźnieńskim dokument papieża Innocentego II z dnia 7 lipca 1163 r., w którym wspomniany papież potwierdza posiadłości i dochody arcybiskupa gnieźnieńskiego. Pomiedzy tymi posiadłościami jest również wieś pod Bytomiem, nazwaną Suersów razem z chłopami i kopaczami srebra.

Dokument ten równocześnie stwierdza o pierwotnym zajęciu ludności Chorzowa i jest najstarszym dokumentem wspominającym o górnictwie na Śląsku.

Dalszy pomyślny rozwój Chorzowa został przerwany przez najazd Tatarów. Tatarzy w swym pochodzie na zachód zniszczyli doszczętnie wsie Chorzów i Dąb. Pozostały tylko resztki domów i nazwy miejscowości. Te tak spustoszone i wyludnione miejscowości podarował Władysław ks. Opola, Henrykowi przeorowi niemieckiemu. Ten sprowadził kolonistów i osiedlił ich na prawie niemieckim. Poprzednio obowiązywało prawo polskie. Różnica polega na tym, że według prawa niemieckiego chłopci byli osobiście wolnymi, posiadali dziedzicznie swe grunty za uiszczeniem pewnych podatków, a gminy rządziły się rzeczywistą ordynacją gminną i posiadały własny sąd niższy, któremu za zwyczaj przewodniczył sołtys, założyciel miejscowości i jego spadkobiercy.

Wielkie znaczenie dla historii Chorzowa ma fakt, że to wielkie zadanie odbudowy powierzono zakonnikom miechowskim, którzy tu na miejscu wybudowali skromny przytułek. To był pierwszy krok do osiedlenia się. Następnie Długosz opisuje, że ks. Kazimierz, który dbał o pobożność i dobre uczynki, spostrzegł, że na jego bytomskim terenie zatrzymuje się dużo osób, które nie mają, ani mieszkania, ani schronienia. Kierując się litością, wybudował w swojej wiosce Chorzów klasztor, względnie szpital dla chorych. Wymienioną wieś Chorzów ze wszystkimi prawami i całym majątkiem fundował szpitalo-

wi i klasztorowi i oddał kierownictwo zakonnikom miechowskim, którzy żyli według reguły św. Augustyna.

Mimo, że Chorzów był własnością klasztoru niemieckiego, dochody z Chorzowa szły na potrzeby szpitala chorzowskiego i probostwa. Proboszcz chorzowski był zupełnie niezależnym od klasztoru i aż do wprowadzenia pruskiej ordynacji sądowej, był sędzią włościan okolicznych. On decydował o spadkach: jednym słowem wykonywał czynności przysługujące panom gruntowym i sądowym.

Stosunki te trwały do XIX w. W roku bowiem 1810 edyktem z dn. 30 października król pruski Fryderyk Wilhelm III wydał zarządzenie, podług którego wszystkie majątki klasztorne, a więc między innymi Chorzów z okolicą przeszły na własność fiskalną (państwową). Sprawę ułatwił rząd rosyjski, wydając zarządzenie kasacji zakonów kościelnych; zniesiono także klasztor miechowski.

Dopiero po długoletnich procesach ze skarbem pruskim udało się parafii chorzowskiej odzyskać część dawnych posiadłości.

Sprawozdanie z kursu krajoznawczego w Podegrodziu (Życie na kursie)

W czasie wakacyj letnich zorganizowała Komisja Zrzeszeń Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej z Krakowa kurs instruktorski dla młodych krajoznawców, będących uczniami szkół średnich. W kursie tym wzięło udział 2-eh członków Koła Krajoznawczego przy Państwowym Gimnazjum Klasycznym w Chorzowie, mianowicie Skorupski Tadeusz i Rejnson Bolesław.

Kurs rozpoczął się dnia 14 lipca i trwał aż do 2 sierpnia br. Kurs ten miał na celu wyszkolić młodych krajoznawców we wszystkich dziedzinach krajoznawstwa, a po drugie zapoznać uczestników kursu z częścią

Beskidów, a zwłaszcza ze Sądecczyną, w szczególności zaś chodziło o to, ażeby nas zapoznać z odrębnym zwyczajem, strojem i kulturą tamtejszej ludności. Kurs był prowadzony przez pana prof. Józefa Staškę z Jasła, a uczestniczył w nim krajoznawcy z 24 miast polskich, reprezentując każdą dzielnicę naszego kraju. A więc byli krajoznawcy z Pomorza, Wielkopolski, Śląska, Wołynia i w. in. Byli wśród uczestników starsi już krajoznawcy, ale nie brakło też i „żółtodziubów“.

Po męczącej podróży znaleźliśmy się nareszcie w Podegrodziu.

Naszą kwaterą została szkoła pow-szechna wsi Podegrodzia. Ponie-waż w szkole znajdowały się dwie sale, to i nas trzeba było podzielić na dwie grupy. Jedną, tą mniejszą salę, zajęliśmy my „żółtodziuby“, a drugą, ci „starzy“. My młodszy świe-tnieśmy się dobrali, same żywe i wesołe chłopaki. Z początku, jak to zawsze bywa, byliśmy nieśmiali i prawie że nie odzywaliśmy się do siebie, ale potem, jak już zżyliśmy się z sobą, to tak jak brat z bratem żyliśmy zgodnie, to znaczy z tymi tylko kolegami, którzy należeli do naszej sali. Z tymi starszymi pro-wadziliśmy ciągle walki, które się kończyły przeważnie krótkotrwa-łym pokojem. Bardzo nam sprzyja-ła ta okoliczność, że pan profesor spał z braku miejsca w innym do-mu, dosyć od szkoły oddalonym. Za tym całkiem spokojnie, bez więk-szych przeszkód, mogliśmy prowa-dzić nasze nocne wojny. Przeważ-nie ci starsi nas zaczepiali, ataku-jąc nas. Gdy my, to znaczy młodszy, przeczuwaliśmy, że na taką się woj-nę zanoszą, to przed pójściem do łóż-ka, w menażkach, manierkach i w czym się tylko dało, przynosiliśmy do naszej sali wodę. Woda była bar-dzo skuteczną bronią, ponieważ o-chładzała temperament tych „sta-rych“.

Wśród nas byli też chłopcy uta-lentowani. Szczególnie jeden z nich. Był to starszy od nas kolega z Ło-dzi. Wszyscy bez wyjątku nazywa-li go „bokserem“, ponieważ był bar-dzo silny. Oprócz tego ślicznie grał

na skrzypcach. Wszyscy wieczora-mi, już rozebrani, schodziliśmy się w sali „starych“ ażeby posłuchać jego gry. Po tem zwykle zaczynaliś-my grać w „salonowca“. Po grze tej zawsze następowała bitka i wszyscy czempredziej wynosili się do swojej sali, zamykając za sobą drzwi. (Ponieważ do drzwi tych nie mieliśmy klucza zmajstrowaliśmy sobie bardzo prosty i silny zamek). Zaczynało się oblężenie naszej twier-dzy. Gdy oni napierali na drzwi, my otwieraliśmy je gwałtownie i ob-lewaliśmy nieprzyjaciela zimną wo-dą. Po skończonej walce kładliśmy się spokojnie spać. Po modlitwie odbywała się gimnastyka poranna, po której następowało śniadanie. Obiady były dobre. Ale wśród nas znajdowały się też „francuskie pies-ki“, które na wszystko nosem krę-ciły. Byliśmy bardzo solidarni względem siebie, a szczególnie je-żeli chodziło o psotę.

Raz wydarzył się w na-szym obozie wypadek, który na zaw-sze pozostanie w naszej pamięci. Jeden kolega z sekcji archeologicznej, szukając na stoku góry odłam-ków urn, potracił nieuważnie wiel-ki kamień, który spadając na dół zabił młodego capa. Myśmy potem cierpieli, ponieważ pan profesor musiał kupić zabitego capa, którego kazał nam ugotować na obiad. Zupełnie mięso tego capa było dziwnie czuć, więc wszyscy jednomyślnie posta-nowiliśmy tego capa nie jeść, lecz wyprawić mu pogrzeb. Od jednego z gospodarzy pożyczaliśmy łopaty, którą wykopaliliśmy „grób“. Ze sta-

rych słomianek zrobiliśmy wieńce, a nawet jeden z kolegów zrobił szarfy z napisami. Zrobiliśmy smutne miny i żałośliwie zawodząc ruszyliśmy do grobu. Jeden z kolegów zrobił zdjęcie, ale nie udało się, ponieważ nie mogliśmy już wytrzymać i zaczęliśmy się śmiać do rozpuku. Po południu mieliśmy dwie godziny wolne od zajęć. W piękne i gorące dni chodziliśmy się kąpać do pobliskiego Dunajca. Jak to miło było zanurzyć się w chłodne fale tej bystrej rzeki. Podczas pobytu na kursie urządziliśmy bardzo wie-

le przyjemnych i wesołych wycieczek do pobliskich wsi, a także do dalszych okolic, jak do Rożnowa, do Pienin i t. d. Szybko mijały dni i tygodnie. Aniśmy się spostrzegli, a już trzeba było wracać do domu.

Dziś po powrocie mogę stwierdzić, że miło i wesoło spędziłem wakacje na kursie krajoznawczym, a przy tem zaczerpnąłem bardzo wiele wiadomości i poznałem piękno Sądeczyny. O samych pracach kursu opowiem innym razem.

Skorupski Tadeusz

A. WASZEK.

Zbieranie materiałów ludoznawczych

Wiedza o ludzie stała się niejako podstawą wszelkiej pracy Kółek Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej, pracy związanej z terenem, na którym one rozwijają swoją działalność. Większość jednak badań ludoznawczych wisi niejako w powietrzu, dlatego jedynie, że prace te nieoparte są na systematycznych i szczegółowych badaniach, nie odzwierciadlają wobec tego należycie przejawów życia ludu, nie wykazują co w nim tkwi odrębnego, a co wspólnego innym regionom. Natomiast badania przeprowadzone systematycznie i szczegółowo, z pomo-

cą kwestionariuszy, opracowanych przez wybitnych etnografów, wykażą dopiero niezbiecie wartości i pochodzenie śląskiej kultury ludowej, wykryją nam rzeczy dawniejsze, na podstawie, których rozwinęła się współczesna kultura, co prowadzi wogóle do poznania jej dziejów.

Jedynie tą drogą zebrany zasób dokumentów usunie wiele nieporozumień, wykaże siły oporu sądeczyny przed wpływami niemieckimi i da nam możliwość poznania umysłowości czasów minionych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawca: Koło Krajoznawcze Gimnazjum Klasycznego w Chorzowie
za komitet redakcyjny: Dr. Jakubowski Józef,
za redakcję odpowiedzialny: Dr. Jakubowski Józef
za komitet administracyjny: Kolny Ludwik, Wanał Leon i Morgała Norbert
Odbito w „Drukarni Narodowej” Chorzów I., ul. Krzywa 14 — Telef. 406-62

Każdy uczeń powinien składać swe Oszczędności w Szkolnej Kasie Oszczędności

Sprawozdanie z pracy Koła Krajoznawczego Gimnazjum im. Odrowążów w Chorzowie za rok szkolny 1935-36.

W bieżącym roku szkolnym praca w kole kontynuowaną była nadal w myśl ustalonych w poprzednich latach ogólnych wytycznych. Uzewewnętrzniała się ona na zebraniach ogólnych członków koła, oraz w zebraniach i w pracach poszczególnych sekcji, w urządzaniu wycieczek dalszych, gromadzeniu zbiorów ludoznawczych, modeli, fotografii, opracowywaniu kwestionariuszy, współpracując z innymi organizacjami szkolnymi i kołami krajoznawczymi, innych szkół itp.

W szczególności odbyło się 8 ogólnych zebrań, na których wygłoszono referaty krajoznawcze. Urządzono stałą wystawę prac krajoznawczych koła w uzyskanej na ten cel sali. Powiększono wydatnie ilość zbiorów, a w szczególności fotografii. Duży nacisk położony został na uporządkowanie zbiorów. Oprawiono fotografii i obrazów 150, sprawiono za cenę kilkudziesięciu złotych dwa stojaki wystawowe i częściowo skartowano zbiór kartek i fotografii. Znacznemu powiększeniu uległa biblioteka, składająca się ze 183 książek o treści wyłącznie krajoznawczej, (W ciągu b.r. szk. przybyło 56 książek), oraz z 82 map turystycznych. Dla sekcji fotograficznej nabyto 3 nowe aparaty fotograficzne, tak, że ta rozporządza obecnie czterema aparatami stanowiącymi własność koła.

Bardzo dużo wysiłków kosztowało koło kontynuowanie wydawania własnego miesięcznika „Młody Krajoznawca Śląski”, którego w bieżącym roku szkolnym wydano 9 numerów.

Koło wzięło udział w wystawie prac krajoznawczych w Krakowie, oraz w zjeździe krajoznawczym, jaki się z związku z wystawą w Krakowie odbył. W zjeździe obok opiekuna wzięło udział 4 członków koła. Za pracę krajoznawczą dostało koło z Komisji Kół Krajoznawczych w Krakowie nagrodę z funduszu Ministerstwa W. R. i O. P. w kwocie 50 zł.

W czasie ubiegłych wakacji 2-ch członków koła ukończyło obóz krajoznawczy w Jurgowie, w czasie wakacji obecnych wysłało koło na własny koszt również 2 członków na kurs krajoznawczy do Podegrodzia.

Koło współdziałało z organizacjami ochrony przyrody, a członkowie Koła opracowali kwestionariusz z tego zakresu. Ponadto opracowali członkowie kwestionariusz historyczno-krajoznawczy, dotyczący budzieli polskości Śląska i działaczy niepodległościowych.

Z innymi kołami krajoznawczymi koło utrzymywało nadal żywy kontakt, a w szczególności z kołem krajoznawczym Gimnazjum Żeńskiego w Chorzowie, z kołem krajoznawczym Miejskiego Instytutu Kształcenia Handlowego w Chorzowie, z kołem krajoznawczym szkoły powszechnej 6-tej w Szopienicach i z kołem krajoznawczym Gimnazjum Humanistycznego w Bydgoszczy.

Zamierzonego w bieżącym roku szkolnym występu krajoznawczego współ z gimnazjum żeńskim koło nie urządziło z powodu skrócenia nauki szkolnej, natomiast brało koło czynny udział w audycji radiowej pt. Wycieczki krajoznawcze.

I-40 p 1936

CZY NALEŻYSZ JUŻ DO SZKOLNEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI?

Instytucja pupilarnego bezpieczeństwa

Komunalna Kasa Oszczędności

MIASTA CHORZÓWA

zapewnia:

najwyższy procent i największe
bezpieczeństwo, gdyż za nią rę-
czy i odpowiada miasto całym
majątkiem i siłą podatkową.
Przyjmuje się wkłady oszczęd-
nościowe już od 1-go złotego.

Centrala:

CHORZÓW I, ulica Moniuszki (naprz. poczty)

Oddział:

CHORZÓW III, naprzeciw kościoła.

Kasa czynna:

od godz. 8 do 13 i od 17 do 19, w sobotę do godz. 12